

Poznaj Świat

11
2014

Cena 10.90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 12

ANTARKTYDA

KONTYNET WIECZNEJ BIELI

str. 24

HISZPANIA

BYĆ JAK SALVADOR DALI

str. 34

NEPAL

MUSTANG - ZAGINIONE KRÓLESTWO

BIRMA

WYDARTE
Z MROKU

str. 102

POLSKA str. 92
ORLE Gniazda

CHILE str. 84
MOTOREM W ANDY

WĘGRY str. 46
W EGERZE BYCZO JEST!



ISSN 0032-6143 INDEKS 369802





Starzy Przyjaciele, Nowi Liderzy:
600 lat Polsko - Tureckich
Stosunków Dyplomatycznych

HOME OF SUMMER JOY

GÖCEK

Göcek jest jednym z najpiękniejszych miasteczek Riwiery Tureckiej. To doskonałe miejsce dla entuzjastów żeglarstwa, które kusí swoimi sześcioma portami, licznymi wysepkami i zatokami. Nic dziwnego, że ten renomowany kurort śródziemnomorski szczycący się Certyfikatem Błękitnej Plaży przyciąga celebrytów wraz z ich wspaniałymi jachtami. Odkryj Turcję, home of letniej radości. Bądź naszym gościem!



#HomeOf

 Göcek, Turcja

goturkey.com



BIURO KULTURY I INFORMACJI AMBASADY TURCJI | www.turcja.org.pl



ANTARKTYDA str. 12



CHILE str. 84



USA str. 66



NEPAL str. 34



MALAWI str. 54

W NUMERZE...

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

ANTARKTYDA str. 12
Niezwykłe lodowe formacje,
stacje badawcze i przede
wszystkim zwierzęta – to
one rządzą na Białym
Kontynencie.
Piotr Gaszyński

HISZPANIA str. 24
W tym roku przypada 110.
rocznica urodzin Salvadora
Dalego – warto wybrać
się do jego niezwykłego
muzeum w Figueres.
Marcin Kołpanowicz

**TURYŚCI I INNE
PRZYPADKI** str. 32
Najgorsze najlepsze wakacje
**Felieton Marty Natalii
Wróblewskiej**

NEPAL str. 34
Zaginione Buddyjskie
Królestwo, Mustang – tak
nazywa się tę tybetańską
kraj. Wciąż jest w dużej
mierze nieodkryta, ale to
może się niebawem zmienić.
Paula Rettinger-Wietoszko

GEOSKOP str. 43

WĘGRY str. 46
Północ tego kraju oferuje
doskonałe wina, smaczną
kuchnię oraz... ogromną
liczbę basenów z wodą
termalną.
Konrad Drozdowski

MALAWI str. 54
Ten afrykański kraj ma parki
pełne dzikiej zwierzyny,
ogromne jezioro
z piaszczystymi plażami
i piękne góry Mlandzi.
Robert Gondek

**FOTOGRAF
W DRODZE** str. 64
W górach jest wszystko.
**Felieton Mikołaja
Gospodarka**

USA str. 66
Białe szaleństwo
po amerykańsku.
Anna Sobotka

POZNAJ ZWYCZAJ str. 76
Zaduszki w krainie Torajów.
**Małgorzata Jarmułowicz
Zygmunt Leśniak**

NAVIGATOR str. 80

CHILE str. 84
Motorem w Andy.
Anna Dąbrowska

POLSKA str. 92
Ruiny zamków, jaskinie
i ostańce – to walory Parku
Krajobrazowego Orlich
Gniazd. **Karol Wielgus,
Grzegorz Mokrecki**

**ŚWIAT
W OBIEKTYWIE** str. 102
Birna. Wydarte z mroku.
Tomasz Jungowski

Z PERSPEKTYWY str. 110
Pod szkocką banderą.
**Felieton Ryszarda
Badowskiego**

**POZNAJ ŚWIAT
OD KUCHNI** str. 114

OUTDOOR str. 116

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 120



NA OKŁADCE:

Kobieta z plemienia
Czinów





Paweł Chara

fotografik, przyrodnik i podróżnik,
współpracownik Poznaj Świat
i jedyny europejski, stały współpra-
cownik China National Geographic,
wykładowca prestiżowej szkoły
fotograficznej – Akademii Nikon

Różne oblicza światła

Wiele fotografii bez światła słonecznego staje się jedynie mniej lub bardziej wiernym odtworzeniem faktów, ale nigdy nie przeradza się w arcydzieło. Dobrze oświetlona scena może stanowić bazę do udanej fotografii – światło tchnie życie w niekoniernie interesujący skrawek rzeczywistości. Światło jest zawsze, musimy tylko nauczyć się rozróżniać jego zalety, by umiejętnie dostosować je do danej sceny.

Pamiętajmy:

- Światło z przodu (pod światło) – bardzo zachęcam do wypróbowania tej metody, która stosunkowo niedawno zawiła na dobre do świata fotografii. Cechuje się rozjaśnionymi krawędziami, tłumi wiele niepotrzebnych szczegółów, a motyw główny jest wyraźnie podkreślony. Pamiętajmy o dłuższym naświetlaniu, gdyż światłomierz skierowany w źródło światła zostanie wprowadzony w błąd.
- Światło z tyłu to obiekt dobrze oświetlony z małą ilością plastyki i cieni.
- Światło z boku to obiekt dość jasny, plastyka znacznie poprawiona, pojawiają się cienie, które można umiejętnie wykorzystać, w tym przypadku pamiętajmy o odrobinę dłuższym naświetlaniu.

Letnie światło jest najmniej sprzyjające za sprawą dużego kąta padania promieni słonecznych. Pozostałe pory roku są łaskawsze dla fotografa. Każda pora roku, pora dnia czy na pozór niesprzyjająca pogoda niesie za sobą potencjał. Drobne chmury czy mgła – one nierzadko bywają wielce pożądanym naturalnym dyfuzorem, który równomiernie rozprawdza światło niemal po całej scenie.

Bawmy się punktowym pomiarem światła wbudowanym w aparat. Pozwoli to szybciej zrozumieć jego złożoność względem matrycy fotograficznej. Używajmy przycisku plus i minus, a dzięki temu zobaczymy, jak wiele twarzy ma światło!



© AGORASTOS PAPATSANIS, GRECJA, 'Magiczne grzybki'

Agorastos Papatsanis (Grecja)

GRECJA

Magiczne grzybki

Czubajki kanie osiągają wysokość do czterdziestu centymetrów. Jak na grzyby, to całkiem sporo. Na zdjęciu sprawiają wrażenie znacznie większych dzięki zastosowaniu przez autora podwójnej ekspozycji. Kanie występują pospolicie w całej Europie.

KATEGORIA
TWÓRCZE WIZJE NATURY
WYRÓŻNIENIE

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2013, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH OD 5 – 30 LISTOPADA 2014 WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W MUZEUM MIEJSKIM, RATUSZ/UL. SUKIENICE 14/15 WE WROCŁAWIU. WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Dla tych, co żyją z pasją
i chwytają każdą chwilę.

PUERTO PLATA JAK MARZENIE!



Republika Dominikańska
Pełnia wrażeń

www.GoDominicanRepublic.pl

Narodowy Urząd Turystyczny
Republiki Dominikańskiej
Štěpánská 611/14. CZ-110 00 Praha 1, Czechy
Tel +420 222 231 078 . Fax +420 222 231 096
poland@godominicanrepublic.com





Waldemar Lamparski

NEPAL

A kysz, kurzu!

Wczesny ranek na jednej z ulic w Chitwan. Kobieta polewa chodnik przed swoim sklepikiem, by zmniejszyć ilość unoszącego się kurzu. Handel w Chitwan oparty jest głównie na biznesach rodzinnych. Za domami uprawia się małe ogródki warzywne, z których plony sprzedawane są w sklepikach wraz z chińskimi towarami.



Zdjęcie pochodzi z galerii Fundacji KADRY ZE ŚWIATA. Można je kupić i pomóc spełnić podróżnicze marzenia dzieci. Szczegóły na WWW.KADRYZESWIATA.PL

Agnieszka Szwed

TAJLANDIA

Psy rządzą!

Ayutthaya to dawna stolica Tajlandii słynąca głównie z zabytkowych ruin, które są świadectwem niegdyś świetności. Dzisiaj rządzą tu bezpańskie psy. Niektóre bywają zaczepne, ale większość zupełnie ignoruje turystów, jak te dwa szczeniaki drzemiące w cieniu drzew.

Tomasz Raczyński

NORWEGIA

Czarny lis, biały lis

Lisy polarne, zwane pieścami, tak jak nasze rudzielce są łowcami okazji, ale w warunkach Spitsbergenu muszą być dużo sprytniejsze. Biała, puszysta sierść zimowa pomaga przetrwać polarne mrozy i maskuje pieśca w śnieżnym krajobrazie. W okresie letnim zaś, gdy na dwa do trzech miesięcy pokrywa śnieżna znika, zwierzęta te przybierają kolor brunatny, brązowy, a nawet całkowicie czarny – zależnie od tego, w jakich warunkach przyszło egzystować danemu osobnikowi.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl. W tytule maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia. Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.





AEROFLOT
Russian Airlines

AEROFLOT – OFICJALNY PRZEWOŹNIK KLUBU MANCHESTER UNITED



NAJWYŻSZA RZETELNOŚĆ PRZEWOZÓW LOTNICZYCH DO AZJI PRZEZ MOSKWĘ

Leć do Delhi, Pekinu, Szanghaju, Hanoi, Tokio oraz do setek innych miast korzystając z wygodnej siatki połączeń Aeroflotu!

Aeroflot otrzymał tytuł najbardziej punktualnej linii lotniczej na świecie w maju 2014 r.* Aeroflot dysponuje najmłodszą flotą na świecie.** Podróżujemy do ponad 300 miejsc w ponad 60 krajach.*** Członkostwo w sojuszu SkyTeam zapewnia Państwu dostęp do ponad 1000 miast w ponad 170 krajach na całym świecie.

Daje to wspaniałe możliwości podróżowania.

* Zgodnie ze statystykami społecznościowymi usługi FlightStats

** Zgodnie ze statystyką ACAS za lipiec 2014 r. spośród linii lotniczych dysponujących aktywną flotą ponad 100 samolotów.

*** W tym loty Aeroflot Group oraz partnerów code-share




<http://manutd.aeroflot.com/top>

ANTARKTYDA

KONTYNET WIECZNEJ

BIEŁKI

Piotr Gaszyński



Poczułem, że coś mnie skubie w nogę. Spojrzałem w dół. Młody pingwin białobrewy ciągnął dziobem nogawkę moich spodni. Był bardzo ciekawski, jak i inne pisklaki. Powinniśmy utrzymywać dystans kilku metrów od ptaków. Nie było to jednak możliwe w koloniach pingwinów, które liczyły setki, a czasami tysiące par.

WIELKI WĘDROWIEC

Albatros wędrowny szybujący za statkiem na wodach Cieśniny Drake'a. Gatunek ten ma największą rozpiętość skrzydeł wśród żyjących ptaków. Sięga ona 3,5 m.

Zasady nie dotyczyły pingwinów. One dreptały, gdzie chciały, nie zważając na bliskość ludzi. Często dochodziło do spotkań na ścieżce. Pingwiny zatrzymywały się i zastanawiały:

przejsć czy nie przejsć. W ich ptasich mózdkach ta myśl kotłowała się czasem dobrą chwilę. Trzeba było wtedy stać i czekać: co zrobi pingwin. Bo na Antarktydzie rządzą zwierzęta, to ich kontynent. I tak powinno zostać.

PTAKI ZIMNYCH MÓRZ

Prawie wszystkie komercyjne ekspedycje zaczynają się i kończą w argentyńskim Ushuaia, najdalej na południe położonym mieście świata. Stąd do Antarktydy już tylko 1000 km w linii prostej. To może wydawać się niewiele, ale najpierw trzeba pokonać wzburzone wody Cieśniny Drake'a.

Potężne fale kołysały statkiem. Tak było przez dwa długie, męczące dni i dwie długie noce. Statek dzielnie znosił



FOT. PIOTR GĄSZYŃSKI

ciągle bujanie, gorzej było z pasażerami. Jedni stosowali środki medyczne, inni leżeli w kajutach z przeświadczeniem rychłego zgonu, a jeszcze inni – jak ja – wychodzili na pokład, żeby odetchnąć morskim powietrzem. Byliśmy w strefie „wyjątych pięćdziesiątek”, więc każde takie wyjście było nie lada wyzwaniem. Od czasu do czasu morze się uspokajało, a słońce wychodziło zza chmur. Można było patrzeć na lecące za statkiem ptaki.

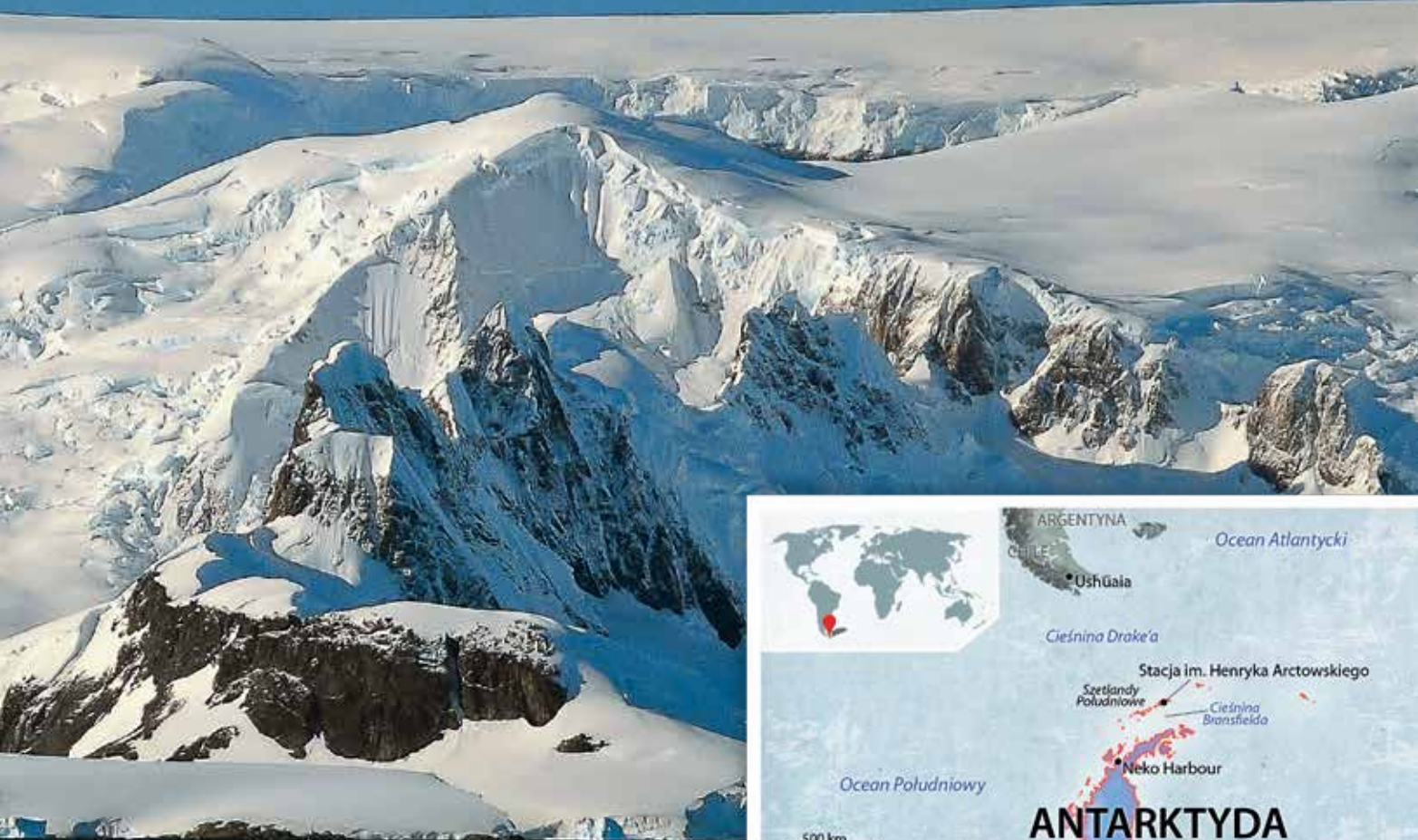
Gatunki zmieniały się w miarę żeglugi. Na początku były to głównie albatrosy czarnobrewy i petrelce olbrzymie. Potem, na środku oceanu, zastąpiły je albatrosy wędrowne, o największej rozpiętości skrzydeł wśród żyjących ptaków, dochodzącej do 3,5 m. Czasem można było zauważyć albatrosa królewskiego albo szarogłowego. Niespodziankę sprawił

nam oceanik żółtopłetwy. Ptaszek wielkości wróbla, nazywany „ptakiem Jezusem” od zwyczaju „podskakiwania” na wodzie w poszukiwaniu pokarmu, zwykle spotykany jest blisko lądu. Teraz, na środku oceanu, siedział skulony z zimna pod burtą. Ornitolog z ekipy przewodników ekspedycji ostrożnie wsadził go do pudełka, a kiedy ptaszek się ogrzał, został wypuszczony na wolność.

Przepełniliśmy linię konwergencji antarktycznej, w której na krótkim dystansie temperatura wody gwałtownie spada. To jest granica Antarktyki, ogromnego obszaru obejmującego nie tylko Biały Kontynent, o powierzchni 14 mln km², ale też wody i wyspy go otaczające. W sumie Antarktyka zajmuje aż 20 procent powierzchni półkuli południowej. Wreszcie zobaczyliśmy pierwsze zarysy wysp.

NIEGOŚCINNE BRZEGI

Typowe wybrzeże Półwyspu Antarktycznego – lód i skały, które praktycznie uniemożliwiają lądowanie, z wyjątkiem dosłownie kilku miejsc.





ZWODNICZA WYSPA

Wędrówka po krawędzi krateru we wnętrzu Wyspy Zwodniczej, która cała jest drzemiącym wulkanem.

Na wodach zatoki unosi się statek „Ushuaia”, dowożący turystów na Biały Kontynent.

NA PÓŁKSIĘŻYCOWEJ WYSPIE

Odetchnęliśmy z ulgą – dopływaliśmy do lądu. Tak naprawdę nie była to jeszcze sama Antarktyda, lecz Szetlandy Południowe. Archipelag ten rozciąga się wzdłuż północnej części Półwyspu Antarktycznego, od którego oddziela go Cieśnina Bransfielda. Przybiliśmy do niedużej Wyspy Półksiężycowej. Załoga spuściła na wodę pontony i udaliśmy się na nasze pierwsze z wielu lądowań.

Zobaczyliśmy pingwiny. Najwięcej było maskowych z czarnym paskiem pod białą twarzą. Wyglądały, jakby miały czapki z paskiem pod brodą. Oprócz nich było kilka białobrewych. Poczuliśmy charakterystyczny zapach pingwinich kolonii. Był to „rybi smrodek” spowodowany przez odchody pingwinów, w których diecie dominują kalmary, ryby i kryl. To właśnie od barwnika zawartego w krylu odchody miały czerwonawy kolor. Po chwili nos się przyzwyczaił i można było poświęcić się obserwowaniu ptaków. Bo były też te latające: mewy południowe i petrelce olbrzymie, które pełnią rolę sępów Antarktyki.

W kolejnych koloniach pingwinów spotykaliśmy także pochwodzioby białe i wydrzyki antarktyczne. Te pierwsze mają nie-

winny wygląd białych gołąbków, ale nie są aniołkami, tylko zręcznymi złodziejami. Widziałem, jak pochwodzioby włoczyły się za pingwinami rodzicami i kiedy ci, nagabywani przez swoje pociechy, otwierali dzioby, by zwrócić upolowanego kalmara lub rybkę prosto do dzioba pisklaka, pochwodziób podlatywał i starał się przechwycić zdobycz. Poza tym pochwodzioby żywią się też... odchodami pingwinów. Wydrzyki są jeszcze bardziej agresywne. Szczególnie gdy bronią gniazda. Odczułem to raz, kiedy przechodziłem blisko skał, wśród których musiało być ukryte ich gniazdo. Nagle ptak zaczął mnie atakować. Krążył i co chwila nurkował, celując w moją głowę.

Na Wyspie Półksiężycowej zobaczyliśmy też pierwsze antarktyczne ssaki. Byli to dwaj przedstawiciele płetwonogich – uchatka antarktyczna i foka Weddella. Uchatki bardzo różnią się od fok, nie tylko występowaniem szczątkowej małżowiny usznej, ale przede wszystkim grubym futrem i zdolnością podciągania tylnych płetw do przodu, dzięki czemu mogą zadziwiająco szybko „biec” skokami. To w połączeniu z ich pokaznym uzębieniem jest potencjalnie groźnie dla człowieka. Nie wolno się zbliżać do nich



FOT. P. POTR. GĄSZYŃSKI



FOT. P. POTR. GĄSZYŃSKI

BYŁ SOBIE WIELORYB...
Jego szkielet na brzegu wyspy Wiencke.

na mniej niż 25 metrów, nawet do śpiących. Szczególnie niebezpieczne były grupki młodych samców, nabuzowane hormonami i jak łobuzy szukające pretekstu do bójki. Co innego foki – te na lądzie były zupełnie niegroźne. Mogły najwyżej pełznąć jak olbrzymie gąsienice. Foki Weddella były wśród nich najrzadsze. Obok fok Rossa to gatunek czysto antarktyczny, nigdy nieopuszczający Białego Kontynentu, nawet w środku zimy.

ROZGRZEWKĄ W BAZIE

W nocy przepłynęliśmy Cieśninę Bransfelda i rano ujrzeliśmy wreszcie Półwysp Antarktyczny. To najbardziej wysunięta na północ część Białego Kontynentu. Ma długość 1300 km, a jego wnętrzu wypełniają góry

z najwyższymi szczytami przekraczającymi 4000 m n.p.m., które pod względem geologicznym uznawane są za kontynuację południowoamerykańskich Andów. Poza ośnieżonymi, posępnymi górami najbardziej charakterystycznym widokiem są tam lodowce schodzące wprost do morza, ciągnące się prawie na całej długości półwyspu. Miejsca nadające się na lądowanie można policzyć na palcach jednej ręki, dlatego najpierw lądowaliśmy na wysepkach.

Tam oczywiście królowały pingwiny, ale już nie maskowe, tylko białobrewy. Na Wyspie Petermanna były też białookie, czyli słynne pingwiny Adeli. Obok nie mniej słynnych pingwinów cesarskich, które występują dalej na południe i w przeciwieństwie do innych wysiadują jaja w środku zimy, pingwiny

Adeli są czysto antarktycznymi ptakami, nie występującymi nigdzie indziej. Nie prezentowały się zbyt dobrze, gdyż właśnie przechodziły pierzenie. Nie mogą wtedy wchodzić do wody i głodują. Dlatego pierzą się właśnie latem, a Półwysep Antarktyczny doskonale się do tego nadaje, gdyż ze względu na swoje położenie charakteryzuje się łagodniejszym klimatem niż pozostałe części kontynentu. Między grudniem a marcem na wybrzeżu jest cieplej niż w tym samym czasie w Polsce. Temperatura zazwyczaj sięga 3-4°C.

Z powodu łagodniejszego klimatu na Półwyspie Antarktycznym i pobliskich wyspach znajduje się najwięcej stacji naukowo-badawczych. Na Antarktydzie jest 39 całorocznych (w tym polska – im. Arctowskiego na Wyspie Króla Jerzego), a 41 czynnych jest tylko latem. Antarktyda nie ma stałej ludzkiej populacji. Zimą przebywa na niej 1000 naukowców i personelu pomocniczego, latem ta liczba zwiększa się do 4000. Pracownicy zmieniają się co roku.

W Port Lockroy, brytyjskiej, nieczynnej stacji badawczej, którą zamieniono w jedyne

na Antarktydzie muzeum, można zobaczyć, w jakich warunkach żyli i pracowali polarnicy pół wieku temu. Otwarta jest tylko antarktycznym latem. Podobnie tylko latem i to nie każdego roku działa argentyńska baza w Paradise Bay. Natomiast prawdziwą, czynną przez cały rok stacją, którą zwiedzaliśmy, była ukraińska Akademik Vernadsky na wyspie Galindez. Naukowcy zajmujący się badaniami meteorologicznymi, fizyki górnych warstw atmosfery, geomagnetyzmu, warstwy ozonowej, sejsmologii, glaciologii, ekologii, biologii i fizjologii mieszkają w budynku, w którym są miejsca dla 24 osób. Po pracy odpoczywają w salonie na piętrze, uważanym za najbardziej na południe położony na świecie publiczny bar. Za trzy dolary można wypić kieliszek domowej roboty wódki z ziemniaków.

ALEJA GÓR LODOWYCH

Przeplłynęliśmy przez piękny kanał Lemaire, w którym skalne ściany schodzą pionowo do morza, a za nim wplłynęliśmy w Aleję Gór

LETNIA STACJA

Widok na argentyńską bazę naukową w Paradise Bay na Półwyspie Antarktycznym.

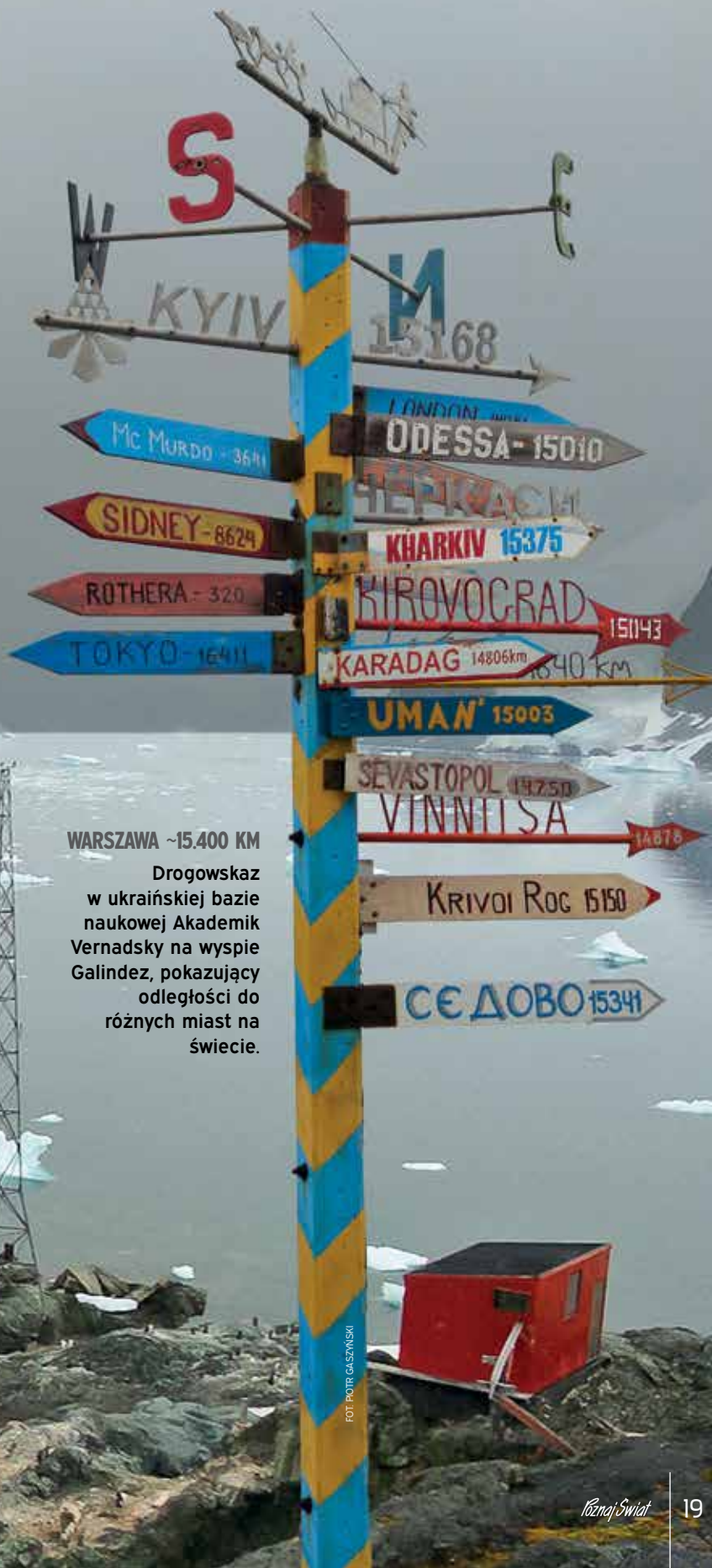
Czynna jest wyłącznie podczas antarktycznego lata.



Lodowych. Załoga spuściła zodiaki na wodę, bo tylko tak mogliśmy zagłębić się w ten nieziemski labirynt. Tu i ówdzie natykaliśmy się na odpoczywające na lodzie foki. Największe wrażenie robiły lamparty morskie – bezlitośni zabójcy pingwinów i innych fok. Bestie długie na blisko 3 m i ważące niemal 400 kg były na lodzie zupełnie niegroźne. Co innego w wodzie. Przepływały pod nami i parę metrów dalej wynurzały się, żeby na nas popatrzeć. Mimo iż znany jest tylko jeden przypadek zabicia człowieka przez lamparta morskiego, nie czuliśmy się zbyt pewnie.

Widzieliśmy też ich potencjalne ofiary – foki krabojady. Wbrew nazwie odzywają się one kryłem, ich zęby mają specjalne wyrostki tworzące rodzaj sita, przez które krabojad odcedza pokarm. Niektóre z nich nosiły blizny, świadczące o spotkaniu z lampartem morskim.

W powietrzu latały rybitwy, można było wśród nich rozpoznać antarktyczne – trzymające się na stałe Antarktyki, a także popielate, zwane arktycznymi – będące największymi



WARSZAWA ~15.400 KM

Drogowskaz w ukraińskiej bazie naukowej Akademik Vernadsky na wyspie Galindez, pokazujący odległości do różnych miast na świecie.

LAMPART NIE ZMIENIA CĘTEK

Wylegające się na lodzie w Alei Gór Lodowych lamparty morskie wyglądają niegroźnie, ale w wodzie to bezlitośni zabójcy innych antarktycznych fok i pingwinów.



podróżnikami na świecie. Latem gnieźdzą się w arktycznej tundrze, na zimę zaś lecą na Antarktydę, gdzie akurat zaczyna się lato. Tylko 20 tysięcy km w jedną stronę...

Krążyliśmy już ponad godzinę wokół gór lodowych, gdy zobaczyliśmy niewielki wydmuch i ciemny kształt znikający pod powierzchnią. Wieloryb! Nie był to jednak żaden z dużych waleni, tylko płetwal karłowaty. Osiągają one maksymalnie 10 m długości i 10 ton wagi. Spośród waleni płetwale karłowate są najbardziej licznym gatunkiem w rejonie Antarktydy. Innym gatunkiem wieloryba, który najczęściej widziałem na Antarktydzie, był długopłetwiec, zwany humbakiem. Jest to wieloryb średniej

wielkości: długości do 15 m i wadze do 50 ton. Zarówno humbaki, jak i płetwale karłowate, a zwłaszcza te ostatnie, musiały się strzec orki. Orki z Antarktyki są szczególnie agresywne i potencjalnie groźne także dla ludzi.

RAJSKA ZATOKA I OKRUTNA PRZESZŁOŚĆ

Wreszcie nadszedł wyczekiwany moment – lądowanie na Antarktydzie. Już nie na żadnej wyspie, ale na samym kontynencie, w Neko Harbour. Wśród pingwinów weszliśmy na punkt widokowy, położony 150 m n.p.m. Stąd nasz statek wyglądał jak łupina. Następnego



dnia znowu wylądowaliśmy na kontynencie, w miejscu nazywanym Rajską Zatoką. Wspięliśmy się na zbocze wzgórza. Widok był piękny, ale to, co nas najbardziej zainteresowało, znajdowało się... niemal pod naszymi stopami. Była to niezwykle krucha, antarktyczna roślinność. Na skałach wykwitwały barwne porosty, a obok zielone poduszki mchów zdawały się zapraszać, żeby na nich usiąść, czego oczywiście nie mogliśmy zrobić. Flora Antarktydy jest bardzo uboga. Występuje tam ledwie 30 gatunków mchów i wątrobowców, tylko glonów i porostów jest więcej: trochę ponad 100 gatunków.

Po nocnej przeprawie przez Cieśninę Bransfielda skoro świt ujrzeliśmy wyłania-

jącą się z horyzontu tajemniczą wyspę. Jej skalne ściany wyrastały ze stałowych wód oceanu jak forteca. Po chwili jednak można było zauważyć przejście. Były to wrota – Miechy Neptuna. Wyspa zaś nosiła nie mniej tajemniczą nazwę: Zwodnicza. Powoli wpływaliśmy przez wrota, wymagało to wielkiej precyzji. Potem przestrzeń nagle się rozszerzyła i znaleźliśmy się we wnętrzu wyspy. Wyspa Zwodnicza to drzemiący wulkan. Gdy tylko wylądowaliśmy na czarnej plaży, poczuliśmy jego oddech. Plaża parowała.

Podziemne ciepło podgrzewało ją, tak że stykająca się z brzegiem woda też się podgrzewała, powietrze nasycalo się wilgocią,

a panujący w nim chłód wytrącał z niego parę. Woda wzdłuż brzegu była na tyle ciepła, że niektórzy zdecydowali się na jedyną w swoim rodzaju kąpiel antarktyczną. Zanurzeni stopy, ale kiedy szli dalej, wpadali w lodowate wody i z krzykiem uciekali. Woda musiała być za ciepła dla kryła, duże jego ilości leżały wzdłuż brzegu, dając nam wyjątkową sposobność przyjrzenia się tym skorupiakom.

Dalej leżały tajemnicze, przerażające ruiny. Wielkie, pordzewiałe zbiorniki i piece z otwartymi paszczami przywołujące na myśl krwawy los, który człowiek zgotował tysiącom fok i wielorybów, aby wydobyć z nich olej. Dawne bazy, jak ta, straszą rdzewiejącymi szczątkami i trwają jako pamiątki okrutnej przeszłości. Są w przenośni i dosłownie eksponatami w muzeum, które chciały zniszczyć i które je przerosło. I które wciąż żyje.

od niemal tygodnia. I to nie zwykłej trawy, a śmiałka antarktycznego. Jeden z zaledwie dwóch rodzimych dla Antarktydy gatunków roślin naczyniowych (drugi to kolobant antarktyczny). Zauroczeni patrzyliśmy, jak na zboczach rozlewała się zielona plama śmiałka, najodważniejszej z roślin.

Poszliśmy ścieżką między pingwinami. I wtedy zobaczyliśmy południowe słonie morskie, największe foki świata. Przechodziły linienie, nie mogły wchodzić do morza i oszczędzały energię, leżąc w stadzie.

Za fokami czekała ostatnia niespodzianka. Pożegnanie z Antarktyką. Na pozór nic takiego – kupa kamieni. Jednak nie były to zwykłe kamienie. Zawierały wiadomość, tajemnicę odcisniętą w skale – odciski liści, łodyg, dawno wymarłych roślin. Antarktyda nie zawsze była skuta lodem. Był czas, że rosły na niej bujne

KOLONIE NA KONTYNENCIE

Neko Harbour na Półwyspie Antarktycznym – jedno z niewielu miejsc, w których można postawić stopę na kontynencie Antarktydy. Spotkać tu można kolonie pingwinów wielu gatunków – na zdjęciu białobrewy.

POŻEGNANIE Z ANTARKTYKĄ

Ostatnia wyspa, ostatnie lądowanie – Wyspa Livingstone'a, największa w archipelagu Szeتلاندów Południowych. Żegnały nas pingwiny białobrewy i te, które nas powitały – maskowe. Do pingwinów byliśmy przyzwyczajeni, ale nie spodziewaliśmy się... trawy – pierwszej

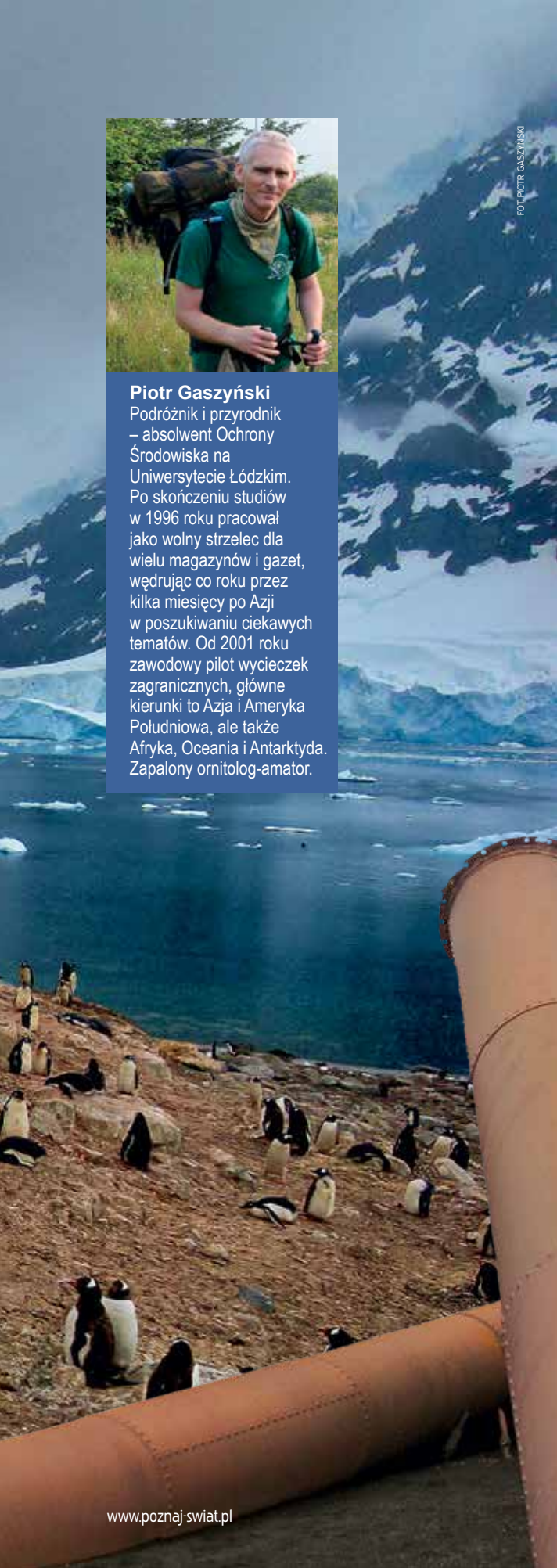
lasy, a w nich wędrowały dinozaury. Miliony lat temu. Potem, mniej więcej od oligocenu, klimat Antarktydy zaczął się ochładzać. Ginęły lasy, a na obszarach najwyższej położonych rozrastały się czasy lodowe. Powstał lądolód, którego grubość przekracza miejscami 4 km. Nastąpiła Wieczna Biel. I to był już koniec. ○



FOT. PIOTR GASZYŃSKI

Piotr Gaszyński

Podróżnik i przyrodnik – absolwent Ochrony Środowiska na Uniwersytecie Łódzkim. Po skończeniu studiów w 1996 roku pracował jako wolny strzelec dla wielu magazynów i gazet, wędrując co roku przez kilka miesięcy po Azji w poszukiwaniu ciekawych tematów. Od 2001 roku zawodowy pilot wycieczek zagranicznych, główne kierunki to Azja i Ameryka Południowa, ale także Afryka, Oceania i Antarktyda. Zapalony ornitolog-amator.



FOT. PIOTR GASZYŃSKI

FOT. PIOTR GASZYŃSKI

RDZEWIEJĄCA HISTORIA

Niszczące budynki i urządzenia dawnej wielorybniczej bazy na Wyspie Zwodniczej.



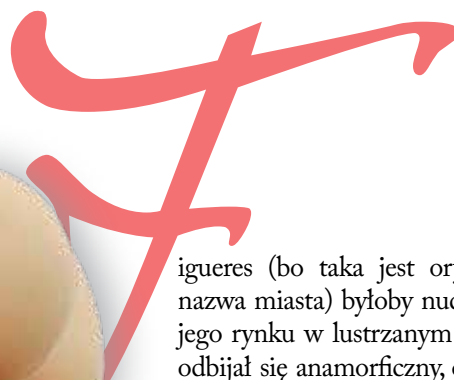
Muzeum
zaprojektowane
i urządzone
przez Salvadora
Dalego w Figueras
samo w sobie jest dziełem
sztuki – największym na
świecie obiektem surrealistycznym.
Przypomina powieść szkatułkową,
w której umieszczono krótsze
opowiadania, złożone z jeszcze krótszych epizodów.

FOT. SHUTTERSTOCK

Marcin
Kołpanowicz

Być
jak...

Salvador Dalí



Figueres (bo taka jest oryginalna, katalońska nazwa miasta) byłoby nudną dziurą, gdyby na jego rynku w lustrzanym stalowym walcu nie odbijał się anamorficzny, ozdobiony parą sterujących wąsów, portret Dalego; gdyby niepokojąca rzeźba z przedziurawionym torsem (pomnik Newtona) nie wyrastała niespodziewanie na skrzyżowaniu wąskich ulic. Gdyby wreszcie najszersza z nich nie nosiła nazwy Avinguda de Salvador Dali. A przede wszystkim, gdyby nie znajdowało się w nim Teatro-Museu Dali, stworzone przez niego w gmachu dawnego teatru miejskiego, zbombardowanego podczas hiszpańskiej wojny domowej.



FASADA WIELE ZAPOWIADA

Gdy muzeum było jeszcze teatrem, nigdy nie cieszyło się taką frekwencją jak obecnie. Na zdjęciu po prawej wypełniony publicznością przedsiónek muzeum.



MUZEUM PARANOICZNO-KRYTYCZNE

Sam malarz tak wyjaśniał, dlaczego wybrał ten właśnie budynek: „Gdzie powinno powstać moje najbardziej ekstrawaganckie i trwałe dzieło, jeśli nie tutaj? Teatr Miejski, lub to co z niego zostało, wydał mi się najbardziej odpowiednim miejscem z trzech powodów: pierwszy, ponieważ jestem wybitnie teatralnym malarzem; drugi, ponieważ teatr stoi tuż obok kościoła, w którym byłem ochrzczony; trzeci, ponieważ właśnie w westybule tego teatru miała miejsce moja pierwsza w życiu wystawa malarstwa”.

Artysta pracował przez 10 lat nad stworzeniem tego zadziwiającego obiektu, dogłębnie oglądając osobiście najdrobniejszych szczegółów. Oficjalna inauguracja Teatru-Muzeum miała miejsce 28 września 1974 r. Zaprojektowana przez Dallego szklana kopuła wieńcząca budynek stała się wkrótce symbolem miasteczka Figueras.

To muzeum różni się zdecydowanie od wszelkich innych – brak tutaj sztywności, przejrzystego układu, jakiegokolwiek chronologii czy systematyzacji. Kto spodziewa się białych ścian i rozwieszonych na nich obrazów, przeżyje zawód. Kto jednak pragnie prześledzić meandry myśli i twórczych natchnień malarza – od momentu wkroczenia na wysoki dziedziniec o oknach strzeżonych przez złote manekiny, przypominające filmowe Oscary, ma możliwość poczuć się przez chwilę jak Salvador Dali, błędząc w budynku, który jest swoistą materializacją niespokojnego umysłu geniusza.

Pierwszą zasadą tego labiryntu jest to, że za każdym zakrętem czai się niespodzianka. Erupcja pomysłów, zaskakujących hybryd i rewią paradoksów sprawiają, że Teatro-Museum jest szczególnym miejscem we Wszechświecie, gdzie prawa fizyki, logiki i estetyki wydają się być zawieszane. To surrealistyczny Disneyland (a raczej Dali-land), gdzie gabinet osobliwości sąsiaduje z galerią arcydzieł, kolumna ze spiętrzonych opon z jubilerskimi cackami, a rekwizyty, które mogłyby się znaleźć w pałacu strachów w wesołym miasteczku – z kryptą, w której spoczywają doczesne szczątki artysty.

Zgromadzone tu wczesne dzieła Dallego pochodzące z lat 1920. dokumentują brawurowe zaliczenie przez malarza przyspieszonego kursu sztuki nowoczesnej. Są tam prace





FOT. MARCIN KOLPANOWICZ

FOT. MARCIN KOLPANOWICZ

impresjonistyczne, fowistyczne czy kubistyczne, obrazy, jakich nie powstydziliby się Seurat, Matisse lub Picasso. Widać jednak, że malarz zniecierpliwiony jałowością formalnych rozgrywek, już w latach 1930. odrzucił je i zwrócił się ku malowaniu własnych snów. Całe szczęście! Jakże nieciekawie i ponuro przedstawiałby się obraz sztuki europejskiej XX w., gdyby nie ożywiła go dzika nieprzewidywalność Daljskiej fantazji.

POLIZAĆ SURREALIZM

W internecie obejrzyć można amerykański teleturniej z lat 1960., którego bohaterem jest Dalí. Uczestnicy mają za zadanie odgadnąć – z zawiązanymi oczami – tożsamość gościa, zadając mu pytania, na które wolno mu odpowiadać tylko „tak” lub „nie”. Wszystkie pytania (czy jest człowiekiem sztuki, telewizji, aktorem, liderem politycznym, sportowcem, czy uprawia lekkoatletykę, czy jest pisarzem lub twórcą komiksów) Dalí kwituje niezmiennym „yes” i z kamienną twarzą przyjmuje wzmagaające się wybuchy śmiechu publiczności. Jedna ze zgadujących wypowiada w końcu zdanie: „There’s nothing this man doesn’t do” (Nie ma niczego, czego ten człowiek by nie robił). Bardzo trafnie, bo istotnym rysem talentu Dalego była zadziwiająca wszechstronność: malował, rzeźbił, tworzył instalacje i happeningi, pisał, występował w filmach, projektował modę i formy przemysłowe.

Przy całym swym kabotyństwie pisma Dalego są zresztą pierwszorzędne literacko, a pod pozorami „paranoiczności” kryją zaskakująco dużo celnych spostrzeżeń na temat sztuki. Inteligencją i błyskotliwością Dalí – w końcu postrzegany głównie jako artysta wizualny – przebija wielu XX-wiecznych wyrobników pióra, a jego poczucie humoru jest niepodrabialne.

Mało kto wie, że Salvador Dalí jest także autorem... logo i wzoru lizaka ChupaChups. Dzięki temu już najmłodsze dzieci zaliczają swój pierwszy kontakt ze sztuką współczesną, najdosłowniej biorąc surrealizm do buzi. Ale w końcu to Dalí powiedział, że „piękno powinno być jadalne”.

Malarz przez całe życie uważał, że nie ma na świecie piękniejszego krajobrazu niż okoli-

ce Cadaques, oddalonego 30 km od Figueras rybackiego miasteczka, w którym urządził sobie pracownię i którego zatokę uwiecznił na wielu swych płótnach. Katalońska przyroda od wieków wywierała silny wpływ na twórczość artystów. Gaudí, także Katalończyk, mówił, że wszystkiego nauczył się od natury. W fantastycznych formach skał zatoki Cadaques Dalí odnajdywał postaci ludzkie i zwierzęce, zdeformowane kończyny i twarze, tak charakterystyczne dla jego sztuki. „Jestem zrobiony z tego krajobrazu; nie mogę się odzielić od tego nieba, tego morza, tych skał” – mówił. Nie gołosłownie – tło większości jego dzieł malarskich wypełnia czerwono-złota ziemia okolic Cadaques i rozedrgane od upału powietrze. Prace te niemal organicznie wyrastają ze śródziemnomorskiego krajobrazu, z gleby, wody i skał tej części Hiszpanii.

KLEJNOTY DALEGO

Teatro-Museu ukazuje jeszcze inną, mało znaną aktywność artysty – projektowanie biżuterii. Jedno ze skrzydeł rozległego gmachu, nazwane „Dalí-Joies” (Klejnoty Dalego), poświęcone jest kolekcji wymyślonych przez niego jubilerskich cacek. Obok surrealistycznych rzeźb-miniatur ze złota, srebra i drogich kamieni (sławny słoń na pajęczych nogach) są tu efektowne i eleganckie naszyjniki, kolczyki i bransoletki. Broszki w kształcie płaczącego oka lub rubinowych ust z perłowymi zębami, choć całkowicie odbiegają od konwencjonalnej złotniczej praktyki i ornamentyki, mogą być obiektem pożądania niejednej wyrafinowanej (i bogatej) elegantki. Niektóre eksponaty są ruchome, jak poruszane mikroskopijnym mechanizmem „bijące” serce z rubinów – niby żywe ciało umieszczone wewnątrz serca złotego. Dalí zaprojektował także wiele krzyżyków i krucyfików, zarazem tradycyjnych i nowatorskich, stworzonych z wielkim wyczuciem materiału (złota, srebra, lapis lazuli, koralowców), będących jednocześnie świadectwem pogłębiającej się z wiekiem religijności artysty.

Dalí wręcz ostentacyjnie podkreślał w wywiadach swój (przynajmniej, bardziej deklaratywny niż faktyczny) katolicyzm. Poza tym otwarcie popierał generała Franco, wbrew swej epoce głosił też z głębokim przekonaniem



FOT. MARCIN KOLPANOWICZ



FOT. MARCIN KOŁPANOWICZ

CZEGO JUBILER BY NIE WYMYŚLIŁ...

Kolekcja klejnotów zaprojektowanych przez Dalego: wyrafinowane krzyżyki przeplatają się z jubilerskimi wersjami malarskich pomysłów artysty.

niem poglądy monarchistyczne. Tak oburzało to André Bretona, że wykluczył go z grona uczestników dorocznych wystaw surrealizmu. Jak zareagował Dali? Wzruszył ramionami i prychnął: „Przecież surrealizm to ja”. Tymczasem sam poddał się we Francji w 1947 r. egzorcyzmom, a w 1949 został przyjęty na prywatnej audyencji przez Piusa XII. Odtąd określał siebie jako „wiernego sługę Kościoła katolickiego” i postulował konieczność przywrócenia malarstwa religijnego, co dodatkowo oburzyło surrealistów – w większości zawziętych antyklerykałów.

Choć początkowo nawrócenie Dalego wyglądało na jeszcze jeden przekorny gest skandalisty, a jego perwersyjno-toksyczne małżeństwo z Galą (de domo Diakonová, eks-żoną

poety Paula Eluarda) w żadnym wypadku nie było wzorem chrześcijańskiego związku – obraży artysty poczęły stopniowo nasycać się tematyką religijną. Sakralna sztuka Hiszpanii, ekspresyjne i naturalistyczne rzeźby przedstawiające konwulsje cierpienia lub dreszcze ekstazy, ważące wiele set kilogramów promieniste monstrancje z czystego złota, noszone w procesjach chorągwie i feretrony zapładniały niewątpliwie wyobraźnię Dalego. Wydaje się, że jego wizje nie byłyby możliwe bez „naturalnego surrealizmu” dawnej sztuki Półwyspu Iberyjskiego, bez jej barokowej, ocierającej się o efekciarstwo, spektakularności. Pod koniec życia malarz zaczął skłaniać się ku mistycyzmowi; zmarł opatrzony sakramentami świętymi w 84. roku życia.

BYĆ JAK MAE WEST...

...kiedy ma się już dość bycia jak Salvador Dali. Na zdjęciu pokój, który wygląda jak twarz słynnej aktorki.



FOT. SHUTTERSTOCK

ZBAWCA MALARSTWA

Wcześniej jednak, specjalnie do Teatro-Museu w Figueras, artysta stworzył dzieła do dziś pozostające emblematami jego nieokielzanej inwencji twórczej. Oto ich niekompletna lista:

„Gala naga, obserwująca morze, która z odległości 18 metrów wydaje się być Abrahamem Lincolnem”. Tytuł tego wysokiego na ponad 4 metry obrazu wydaje się absurdalny, lecz nad wyraz precyzyjnie opisuje jego ideę: oglądany z bliska jest aktem w oknie, z daleka – głową zwycięzcy wojny secesyjnej. To typowy dla Dalego zabieg, rodem ze spopularyzowanych w XIX w. złudzeń optycznych. Dali lubował się w takich zabawach. Z jednej strony były one okazją do zademonstrowania technicznej wirtuozerii, z drugiej – owocem wynalezionej przez niego metody paranoiczno-krytycznej. Pozwalała ona łączyć odległe obiekty mocą uwolnionej od wszelkich rygorów wyobraźni, co przypominać może opisany w psychiatrii mechanizm złudzenia paranoicznego.

„Dali widziany od tyłu, malujący Galę widzianą od tyłu, uwieczniony przez 6 pozornych siatkówek, przelotnie odbitych w 6 prawdziwych lustrach”, „Koszyk z chlebem”, „Galarina”, „Atomic Leda” i „Galatea of the Spheres” – te niewielkie rozmiarami obrazy (ich dłuższy bok nie przekracza z reguły 60 cm) to dzieła Dalego, w pełni ukazujące jego fenomenalny kunszt malarski. Mogą łatwo zostać przeoczone w natłoku rekwizytów, instalacji i innych atrakcji, którymi naszpikowane jest muzeum. A jednak to właśnie dla tych zaskakująco niedużych obrazów najbardziej warto wybrać się do Figueras. Te niekwestionowane arcydzieła pędzla dowodzą, że Dali słusznie – choć z właściwym sobie brakiem skromności – twierdził, iż jest zesłanym przez Opatrzność zbawcą malarstwa europejskiego (powołując się przy tym na swe imię Salvador, oznaczające zbawiciela).

„Deszczowa taksówka”, najsławniejsza chyba instalacja Dalego. Gdy wrzuci się do automatu 1 euro, spod sufitu czarnego cadillaca deszcz zaczyna kapać wprost na kierowcę w czarnej skórzanej kurtce oraz rozneglizowaną, oplecioną bluszczem parę na tylnym siedzeniu. Instalacje Dalego, pełne poezji i humoru, nie mają wiele wspólnego z nudnymi, odstręczającymi obiektami, również klasy-

fikowanymi jako instalacje, a wypełniającymi dziś centra sztuki nowoczesnej. Te stworzone przez katalońskiego wizjonera to fajerwerki inwencji, wieloznaczne zbitki zaskakująco zestawionych elementów.

„Twarz Mae West, która może być używana jako apartament” – jedyny w swoim rodzaju pokój-portret, stworzony z umeblowanego wnętrza, gdzie oczy to obrazy, nos to kominek, zaś włosy to dwie złote draperie. Kolejnym sztandarowym pomysłem Dalego, zastosowanym w tym właśnie pokoju, są usta, które mogą być używane jako sofa – dzieło z pogranicza rzeźby, designu i optycznego tricku. Dali zafundował temu, kto odważy się usiąść na owej zmysłowej sofie, przewrotną mieszaninę doznań: z jednej strony rozkosz, bezpieczeństwo i komfort, z drugiej – atawistyczny strach przed połknięciem przez zachłanne karmazynowe wargi.

„Sala Pałacu Wiatru” to sypialnia Dalego z unoszonym przed delfiny łóżem; obok niego złożony szkielet małpy czuwa nad snem malarza. Czy sny te były szczególnie wizyjne, gdy wiał tramuntana, kataloński halny, który, jak mówią miejscowi, wywołuje szaleństwo? Powierzchnię plafonu zajmuje fresk, na którym dominują gigantyczne, widziane od strony podeszew bose stopy Salvadora i Gali. Unoszą się oni w kierunku złotego sklepienia, otwartego na skłębione chmury, które są miejscem odpoczynku mitologicznych bóstw; właśnie do ich grona aspiruje „Boski” Dali ze swą Muzą.

Artysta namalował ten plafon własnoręcznie w wieku 70 lat i stanowi on swoistą sumę jego malarskich poszukiwań. Z góry sypie się deszcz złotych monet – być może oznaczają one coraz wyższe honoraria, które malarz otrzymywał za swe obrazy (a zarazem coraz wyższe stawki, które Gala przegrywała w kasynach). Może symbolizują bogactwo przeżyć, jakie mistrz zgotował dla zwiedzających jego muzeum, a być może niebagatelne profity, które z owych zwiedzających czerpać będzie miasto Figueras. Bo arcydzieło surrealizmu – Teatro-Museu Dali – może poszczycić się milionem widzów rocznie, co czyni je najczęściej odwiedzanym muzeum w Hiszpanii i jednym z najczęściej odwiedzanych na świecie. ○



Marcin Kołpanowicz

Malarz i podróżnik. Wrażenia z wypraw są inspiracją dla jego pastelowych i olejnych wizji, łączących w sobie nieskrępowaną wyobraźnię, poetycką metaforę i filozoficzne przesłanie. Autor ponad 20 wystaw indywidualnych (m.in. Paryż, Nowy Jork, Kolonia, Wuppertal, Linz, Kraków, Gdańsk, Warszawa). Jego obrazy pojawiły się na okładkach książek „ukrytego cesarstwa” – Etiopii, jej historii, tradycji i kultury.



Zamknij oczy i przypomnij sobie swoje wakacje. Wybierz miejsce, którego nazwa wciąż brzęczy w uszach i sama ciśnie się na usta. Pomyśl o chwili, którą pamiętasz najdokładniej, której smak i zapach natychmiast wracają. Przywołaj emocje, które wibrują gdzieś w głębi ciała, choć bywają trudne do ujęcia w słowa. A może nie, bo przyglądałaś się im już wielokrotnie, odtwarzając wspomnienie w myślach, relacjonując je znajomym?

NAJGORSZE NAJLEPSZE WAKACJE

Poprosiłam o to samo moich przyjaciół, ledwo zmyli ze skóry pył drogi i rzucili w kąt podróżne plecaki. Julia opowiedziała mi o serpentynach portugalskiego parku narodowego Peneda-Gerês, na które nagle spłynęła mgła gęsta jak śmietana, i które pokonywała autem, ze strachu niemal przyklejona do przedniej szyby, obok niewruszonego narzeczonego za kółkiem.

Wojtek przywołał krajobraz armeńskiej miejscowości Alaverdi przy granicy z Gruzją. Wśród dramatycznej przyrody – w wąwozie nad rwącą rzeką, w cieniu strzelistych gór – ludzka ręka stworzyła prawdziwy Mordor. Z ziemi wyrastają zardzewiałe szkielety budowli niewiadomego przeznaczenia, pustostany betonowych molochów wytrzeszczają

martwe oczy okien, prosto z zielonego zbocza góry wystaje dymiący komin, nadając jej wygląd starego, zgarbionego palacza. Porzucone na podwórkach i poboczach kamazy, żyły i łady cicho się rozpadają – wraz z całym górniczym miastem, smutną sierotą po ZSRR.

Patryk, który wybrał się do Moskwy na kurs językowy, przedstawił mi warunki mieszkaniowe w akademiku tonem, jakim zwykło się opowiadać straszne historie przy ognisku (do efektu pełnej grozy brakowało tylko przyłożonej do brody latarki). Między piętnastoma piętrami gęsto zasiedlonymi przez studentów kursowała z wyraźnym wysiłkiem jedna winda, okna były brązowe od niemycia, a do tego pod ścianami śmigały karaluchy. Gdy jedna z polskich stu-

dentek poskarżyła się kierownicze na niepożądane owadzie towarzystwo, ta odrzekła zszokowana: „Jak to? To u was w Polsce nie ma karaczanów?!”

Natomiast Piotrek z dziewczyną, którzy szukali w Tatrach ciszy i kontaktu z naturą, utknęli w Jaskini Mroźnej... w korku! Obsługa, widocznie onieśmieszona stojącą do wejścia kolejką, wpuściła zbyt wielu turystów. Z przodu grupa osób zablokowała drogę, by robić zdjęcia, zaś z tyłu ktoś, komu słońce (i wypite po drodze piwko) uderzyło do głowy, zaczął wydawać przeraźliwe piski i pochrumkiwania, zaś całą sytuację postanowiła opanować samozwańcza grupa, na co dzień dyktująca porządki na trybunach. Mało brakowało, a w klaustrofobicznej jaskini na oczach przerażonej dzieciarni doszłoby do klasycznej stadionowej bójki. Szukająca romantycznych krajobrazów para wróciła ze szlaku zestresowana i z dudnieniem w uszach, jak po ulicznej demonstracji.

Wszystkie te historie mają jedną wspólną cechę – opisują w gruncie rzeczy wrażenia negatywne. Tak już nas ulepiła ewolucja, że bardziej zapadają nam w pamięć sytuacje nieprzyjemne, a nawet niebezpieczne, niż chwile spokoju i błogości. Ja znacznie lepiej pamiętam jazdę rozklekotaną marszrutką ze zrzędlwym kierowcą niż trasy pokonane klimatyzowanym autokarem. Mogę przywołać tysiąc szczegółów przejażdżki stopem

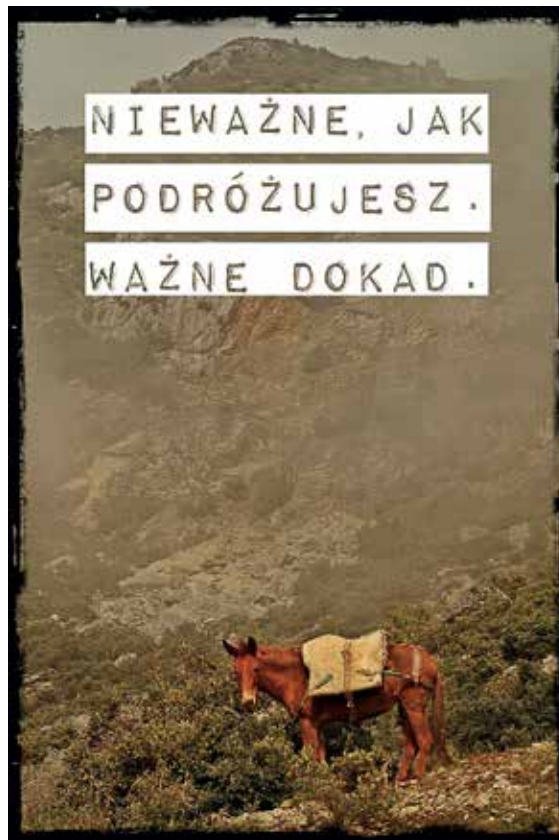
z lekko stukniętymi tureckimi kierowcami ciężarówki, a nie pamiętam nic z mercedesów i bmw, którymi przemierzałam drogi bezszelestnie i bezpiecznie.

Przed oczami staje mi jak żywa właścicielka pensjonatu, która twierdziła, że „w jej internecie ceny są inne niż w moim” i wypchnęła mnie za drzwi, krzycząc „hosteli gdzieś mnogo!”, podczas gdy wszyscy angielskojęzyczni recepcjoniści hosteli zlewają mi się w jedną neutralną całość. Wciąż pamiętam mdły aromat zamówionego niechcący w Porto ozorka, a ledwo udaje mi się przywołać smaki wszystkich pyszności, których miałam okazję spróbować.

Choć przymiotnik „komfortowy” wciąż obowiązkowo pojawia się w ofertach wczasów, to jednak bez elementu dyskomfortu – zaskakującego zetknięcia z lokalną kulturą, pierwiastka chaosu, nieprzewidywalności i ryzyka – żadne wakacje nie są pełne. Nawet znajomym wstyd opowiadać o nieprzerwanym ciągu pięknych widoków, obfitych dań kuchni europejskiej i leniwych dniach spędzonych przy basenie pod parasolem. Między innymi dlatego Polacy coraz chętniej zamiast wczasów all-inclusive wybierają opcję „podróżniczą” – samodzielnie organizowane wyprawy, chętnie do krajów mniej oswojonego Wschodu. Inna sprawa, że profesjonaliści branży już się na tym trendzie poznali i zamiast oklepanych „objazdówek” oferują klientom ekscytujące „wyprawy” i „przygody”. Czasami jedno od drugiego różni się tylko nazwą, ale nie zawsze...

Znajoma przewodniczka opowiedziała mi o organizowanej przez biuro „ekspedycji”, podczas której uczestników istotnie spotykała sytuacja mroźca krew w żyłach. Podczas przeprawy samochodem terenowym przez bezkres pustyni auto nagle zarzęziło, stęknęło

i zdechło. Wokół ani wody, ani cienia, ani zasięgu. W perspektywie chłodna noc, a do najbliższej miejscowości – pół dnia drogi szybkim marszem. Po brakującej części do samochodu wyruszyli kierowca z jednym turystą, a reszta zmobilizowała całą wiedzę z „W pustyni i w puszczy”, serialu „Lost” oraz quizu „10 najważniejszych na pustyni przedmiotów”, by zbudować tymczasowy obóz, roz-



dzielić wodę, opanować rosnący niepokój itd. Wszystko skończyło się dobrze, spędzoną na pustyni dobę uczestnicy jeszcze długo wspominali z wypiekami i bez najmniejszego żalu do organizatorów, bo udało się nawet nadgonić program wycieczki. Nic w tym zresztą dziwnego, ponieważ cała sytuacja została zainscenizowana i od początku była w owym programie przewidziana...

Los potrafi zakpić sobie z turystów nie tylko w miejscach dzikich i odludnych. Prowadziłam kiedyś pieszą wycieczkę w Toskanii, wokół tak zwanych glinek sien-

neńskich – szarych pagórków tworzących wycinek księżycowego krajobrazu wśród odbłaskowo zielonych wzgórz. Ponieważ nad głowami zaczynały nam się kłębić niepokojące chmurzyska, uczestnicy dostali wybór – kilkugodzinny trekking z opcjonalnym gratisowym prysznicem lub pewny dach nad głową w pobliskiej restauracji (notabene, będącej kiedyś własnością papieża, jak prawie wszystko w tej części Włoch). Większość osób ruszyła dziarsko w drogę, by w kluczowym momencie, gdy już było za późno na odwrót, poczuć pierwsze krople deszczu.

Potem walory sienneńskiej gliny poznaliśmy wszystkimi zmysłami – ślizgaliśmy się na niej, wyczyniając rozmaite akrobacje, chlapała nam głóśno pod nogami, czule ściągając buty, kreśliła esy-floresy na łydkach, zapraszała, by nałożyć sobie z niej maseczkę, powąchać ją i posmakować. Gdy ścigani błyskami i gromami dotarliśmy w końcu do papieskiej knajpy, spodziewałam się gorzkiej reprimendy od mojej „błotnej brygady”. Tymczasem spod peleryn i mokrych grzywek wyjrzały na mnie roześmiane oczy dzieci, którym mama pozwoliła bawić się w kałuży. Co więcej, niejeden „Jożin z bażyn” spoglądał z wyższością na grupkę, która odmówiła udziału w wycieczce, jak na lu-

dzi, którzy nie wiedzą, co naprawdę w życiu (i podróżowaniu) się liczy.

Jaki z tego morał? Przewodnicy i podróżnicy, nie traćcie nadziei, nawet jeśli ruszacie w drogę z mniej zapobiegliwymi biurami niż to od przygody na pustyni. Gdy zawiodą zaplanowane trudności, zawsze pozostają te nieoczekiwane! ◉

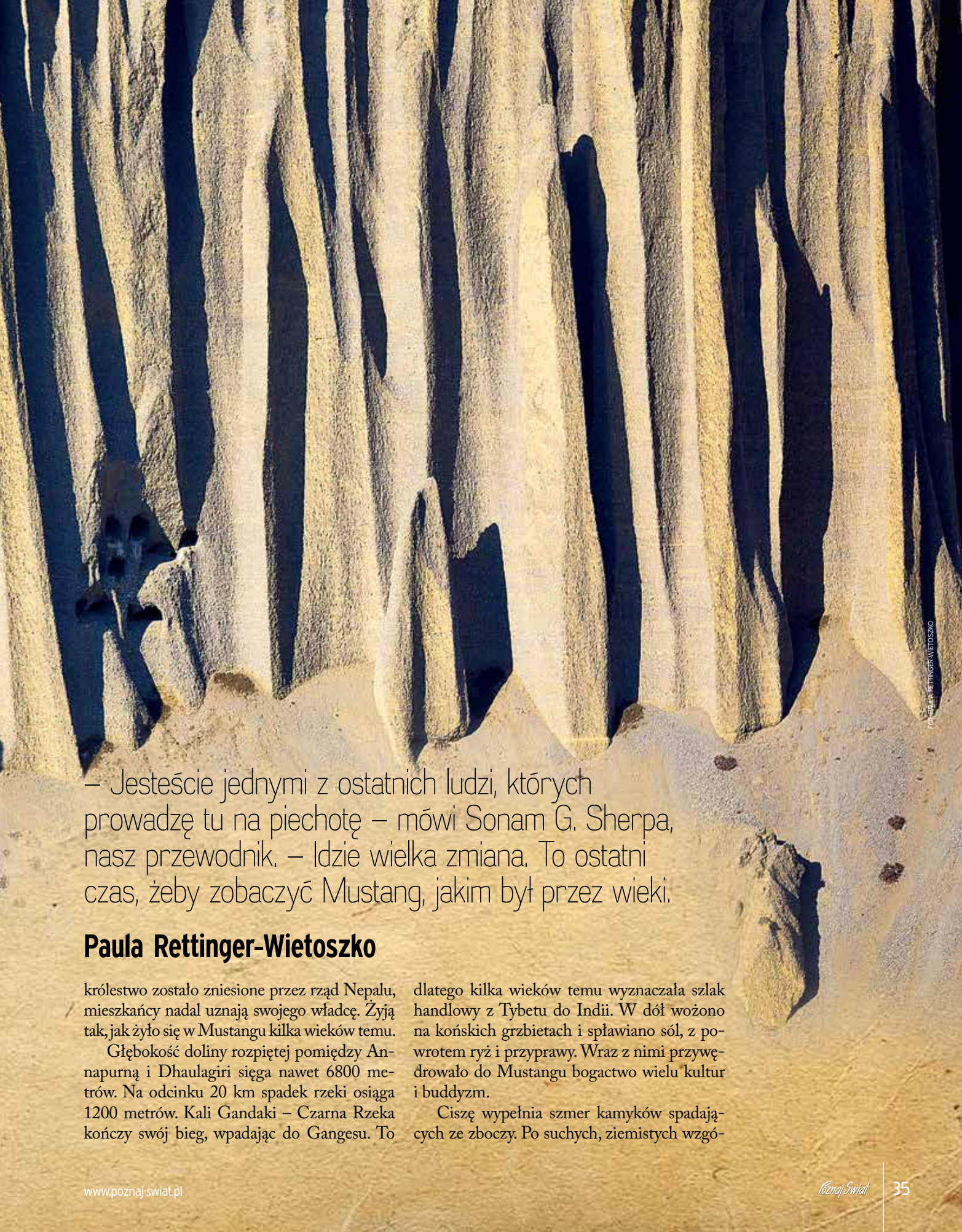
Marta Natalia Wróblewska

Chłonie świat na równi przez podróże i literaturę. Tłumaczy książki z włoskiego i francuskiego. Orowadza polskich turystów po Włoszech, a włoskich po Warszawie.

MUSTANG ZAGINIONE KRÓLESTWO

Wszystko tam jest wielkie. Góry, przestrzeń, odległości i deniwelacje. Niezliczone grotty drażone przez ludzi w skale setki lat temu. Do dziś w większości nieodkryte. Szmat historii. To główny cel naszej ekspedycji. Wielka przygoda w najgłębszej dolinie świata.

W DOLINIE CZARNEJ RZEKI „Zaginione Buddyjskie Królestwo” – tak nazywają ten cypel Nepalu wcinający się na północ w chińską granicę. To leżący na półpustynnej wyżynie fragment dawnego Tybetu, kulturowo związany z buddyzmem tybetańskim. Do roku 1992 zamknięty dla turystów, miał swojego króla, autonomię i kulturę. Mimo że w 2008 roku



FOOTBALL RETTINGER WIELOSZO

– Jesteście jednymi z ostatnich ludzi, których prowadzę tu na piechotę – mówi Sonam G. Sherpa, nasz przewodnik. – Idzie wielka zmiana. To ostatni czas, żeby zobaczyć Mustang, jakim był przez wieki.

Paula Rettinger-Wietoszko

królestwo zostało zniesione przez rząd Nepalu, mieszkańcy nadal uznają swojego władcę. Żyją tak, jak żyło się w Mustangu kilka wieków temu.

Głębokość doliny rozpiętej pomiędzy Annapurną i Dhaulagiri sięga nawet 6800 metrów. Na odcinku 20 km spadek rzeki osiąga 1200 metrów. Kali Gandaki – Czarna Rzeka kończy swój bieg, wpadając do Gangesu. To

dlatego kilka wieków temu wyznaczała szlak handlowy z Tybetu do Indii. W dół wożono na końskich grzbietach i spławiano sól, z powrotem ryż i przyprawy. Wraz z nimi przywędrowało do Mustangu bogactwo wielu kultur i buddyzm.

Ciszę wypełnia szmer kamyków spadających ze zboczy. Po suchych, ziemistych wzgó-



demonów zgładzonych przez Guru Rinpoche, mędrca i jogina, który przyniósł w VIII wieku buddyzm z Indii do Tybetu. Prośby do bogów zanoszą szczególnie tutaj pracowity wiatr, szamoczący niemal bez ustanku modlitewnymi flagami z mantrami i wizerunkami bóstw.

SKARBY W STUPACH, STUPY W GROTACH

Stoją wszędzie. W sanskrycie słowo „stupa” oznacza stos lub kopiec. Główną jej funkcją jest przechowywanie szczątków i relikwii oświeconych nauczycieli. Sam Budda Sakjamuni przed wejściem w nirwanę poprosił swoich uczniów, żeby jego szczątki umieścili w stupie. Wypełnione są czasem także kosztownościami lub bronią. Ukryte w nich skarby stanowią dla mieszkańców Mustangu rodzaj lokaty – na wypadek epidemii, wojny czy klęski żywiołowej. Lamowie mogą zdecydować o otwarciu i wykorzystaniu skarbów. Dzieje się

MODLITWA PRZYDROŻNA

Wykuta na murze mantra „Om mani padme hum” oznacza w literackim tłumaczeniu „Bądź pozdrowiony, klejnocie w kwiecie lotosu”. W tle stupy kryjące prochy oświeconych lamów.

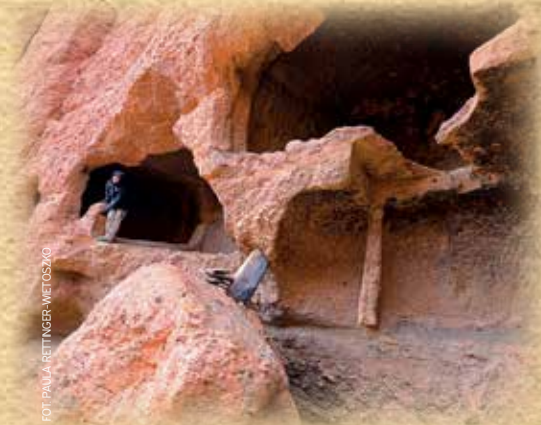
rzach pasterze prowadzą nieliczne stada czarnych kóz. Z ich skór robią postania. Konie tam niewielkie, krępe, przywykłe do dźwigania. Wąskimi ścieżkami, po piarzystych zboczach i urwiskach od wieków noszą ludzi i towary. Mustangi z Mustangu...

Niezwykłe kolory skał pochodzą – jak głosi legenda – od krwi i sinych wnętrzości



FOT. PAULA RETTINGER-WETOSZKO

tak niezwykle rzadko, ale daje poczucie bezpieczeństwa. Celem budowy stupy jest także pomaganie w oczyszczeniu z negatywnych wrażeń i nagromadzeniu pozytywnej energii.



FOT. PAULA ROTTINGER-WEITZING

SEKRETY GROT

Setki grot mieszkalnych i medytacyjnych kryją tajemnice dawnego życia, wierzeń i kultur. Wiele wciąż nie zostało odkrytych.

W Tybecie zwane są czortenami. Stojące na drodze zawsze mijamy z lewej strony, zaś wielokrotne okrążanie stupy jest rodzajem modlitwy napełniającej mocą oświecenia. Czorteny bywają niewielkie jak przydrożne kapliczki, innym razem duże jak kościoły. Stoją w dolinach, na wzgórzach, w wioskach i grotach.

Krajobraz Mustangu to niezwykle formacje skalne tworzone przez wodę, mróz i wiatr. Drażą go w skale zlepionej z błotnistej ziemi i milionów rzecznych otoczków przyniesionych przez lodowce. Zlepieniec jest tu na tyle miękki, że ludzie także drążyli kiedyś w skale grot. Tak powstały całe skalne miasta. Wielopokojowe, wielopoziomowe apartamenty, które gwarantowały ochronę przed deszczem i śniegiem, a przede wszystkim bezpieczeństwo, które przy ruchliwym handlowym szlaku bywało zagrożone.

Z oddali zbocza wyglądają jak szwajcarski ser. W niektórych żyją do dziś ludzie z najniższej kasty. Mieszkańcy Choser w pobliżu chińskiej granicy nadal wykorzystują nisko położone grot jako główną część mieszkalną swoich domów. Dobudowują do pomieszczeń wydrążonych w skale ściany, które chronią przed wiatrem i wodą.

Jednak większość z grot, opuszczona kilka wieków temu, od tamtej pory nie była odwiedzana przez nikogo prócz ptaków. Gołębie, kruki i sępy himalajskie rozgościły się tam na dobre. Wiodące niegdyś do grot, wykute w skale schodki rozsypały się i zniknęły wymyte przez deszcz.

Jednym z celów naszej wyprawy było zbadanie łatwiej dostępnych grot i opracowanie sposo-



FOT. PAULA ROTTINGER-WEITZING

MUSTANGI Z MUSTANGU

Niewielkie, krępe konie są przywykłe do dźwigania. Od wieków noszą ludzi i towary wąskimi ścieżkami po piarzystych zboczach i urwiskach.

NEPAL I OPAŁ

Na dachach domów w wiosce Dhi poukładane jest drewno, które latem osłania je od wiatru, a zimą służy za opał.

FOT. PAULA RETTINGER-WETOSZKO

„ŻYWI” PRZYKŁAD

W Mustangu są tylko dwie szkoły. Większość dzieci nie chodzi do żadnej z nich ze względu na odległość. Wiedzę i doświadczenie zdobywają głównie w domowym obejściu.

ów na eksplorację tych, które są zbyt wysoko. Wspinaczka do nich jest praktycznie niemożliwa, bo skała jest krucha. Tam, gdzie udało się dotrzeć, natknęliśmy się, obok śladów codziennego życia, na niezwykle polichromie. W skalnych komnatach kryją się czorteny i niczym niezabezpieczone, pokryte pyłem i ptasim łajnem – stare manuskrypty.

LEKCJA BIOLOGII I JAZDA NA KUPIE

Nocą w Yara pantera śnieżna zagryzła trzy kozy. Jedna ze złamaną nogą czeka w zagrodzie na wykonanie wyroku. Z takim kalectwem nie miałyby szans na kamienistych, stromych pastwiskach. Dwie rodziny będą dziś ucztować. Teraz na glinianym dziedzińcu przed jednym



FOT. PAULA RETTINGER-WETOSZKO

z domów trwa lekcja biologii. Gromada dzieciaków uczestniczy w oprawianiu zwierzaka. Pomagają dziadkowi zdjąć z niego skórę. Ciekawość wzrasta, gdy starzec rozcina kozi brzuch i wyjmując wnętrzności, pokazując poszczególne narządy i tłumacząc ich funkcje. Sprawnie wypreparowaną żółć wyrzuca za mur. Warujący obok pies ucztuje, obgryzając czarne kopyto.

Na koniec dziadek oczyszcza jelita, wyjmując z nich garść kozich bobków. Odkłada je pieczołowicie na bok. W Yara są cenne jak złoto. Są jedynym „płodem ziemi”, który mieszkańcy biednej wioski mogą sprzedać. Bobki suszą się na płaskich dachach domów. To bezcenny na nieurodzajnej glinie nawóz.

Dziś na kolację będzie *thakpa* – danie z jednego garnka – z mięsem jaka lub kozy, kluskami i warzywami. Oprawione mięso zostanie częściowo ususzone na słońcu. Na trudną zimę. Kozy, krowy i kury z rzadka urozmaicają jadłospis oparty głównie na gryce, prosie i pszenicy, hodowanych na małych poletkach przyklejonych do górskich zboczy.

Tylko wiosną można przejechać korytem rzeki Kali Gandhaki między Yara a Kagbeni. Niski poziom wody pozwala wtedy na transport towarów traktorami. Byliśmy szczęśliwi, że wreszcie uda się nam zobaczyć ten kanion z dołu. Jednak już kilka minut po starcie, gdy zjeżdżaliśmy krętą i przepaścistą drogą, wiedzieliśmy, że łatwo nie będzie. Przyczepa była załadowana workami towarów, a także gromadą dzieci i kobiet jadących na festiwal sztuki ludowej. Trzymaliśmy się siebie kurczowo, co jakiś czas ktoś wyskakiwał, aby podnieść zgubione na wybojach pakunki.

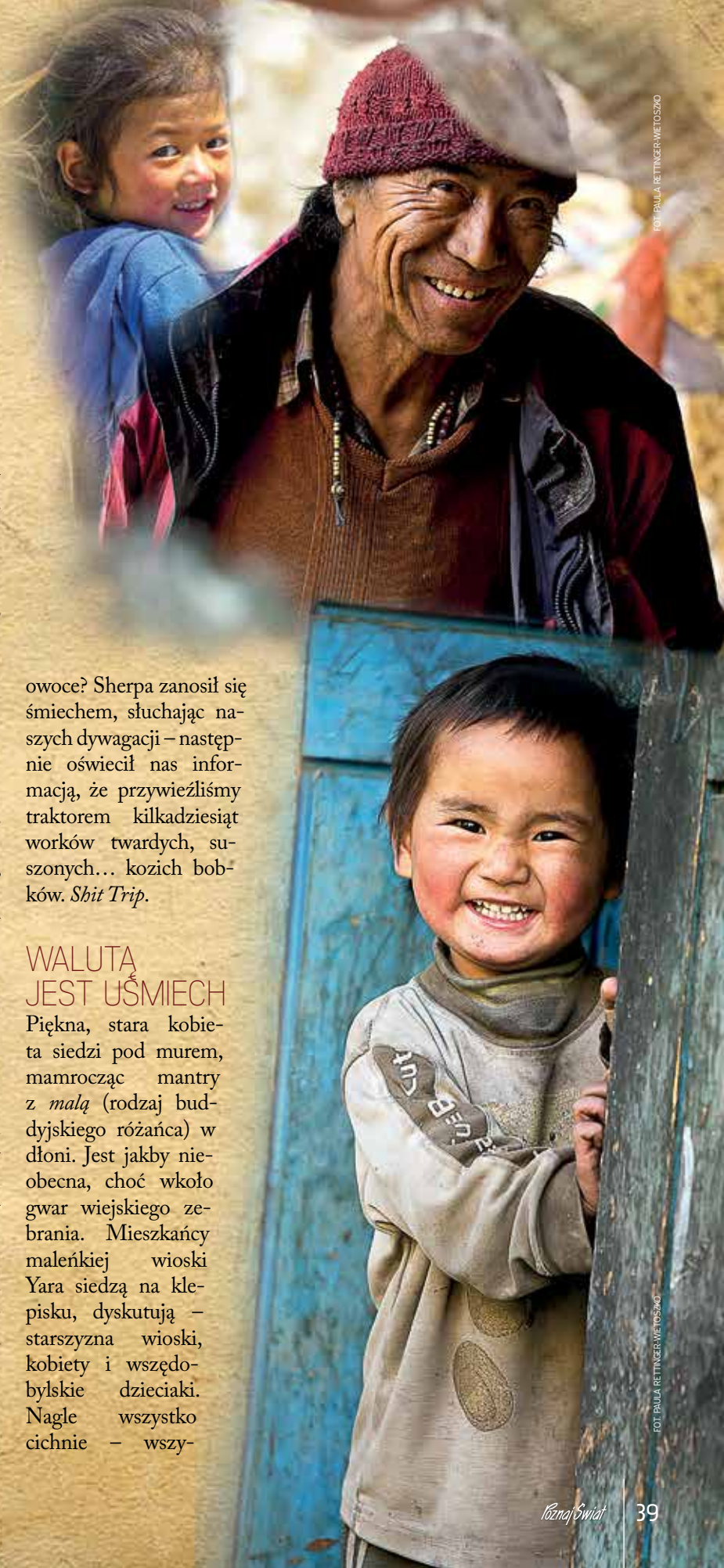
Po sześciu godzinach upiornej jazdy bez resorów po olbrzymich otoczkach mieliśmy mdłości, a cenny towar z worków odbity na poślankach, udach i plecach. Dłonie krwawiły od trzymania się powrozów.

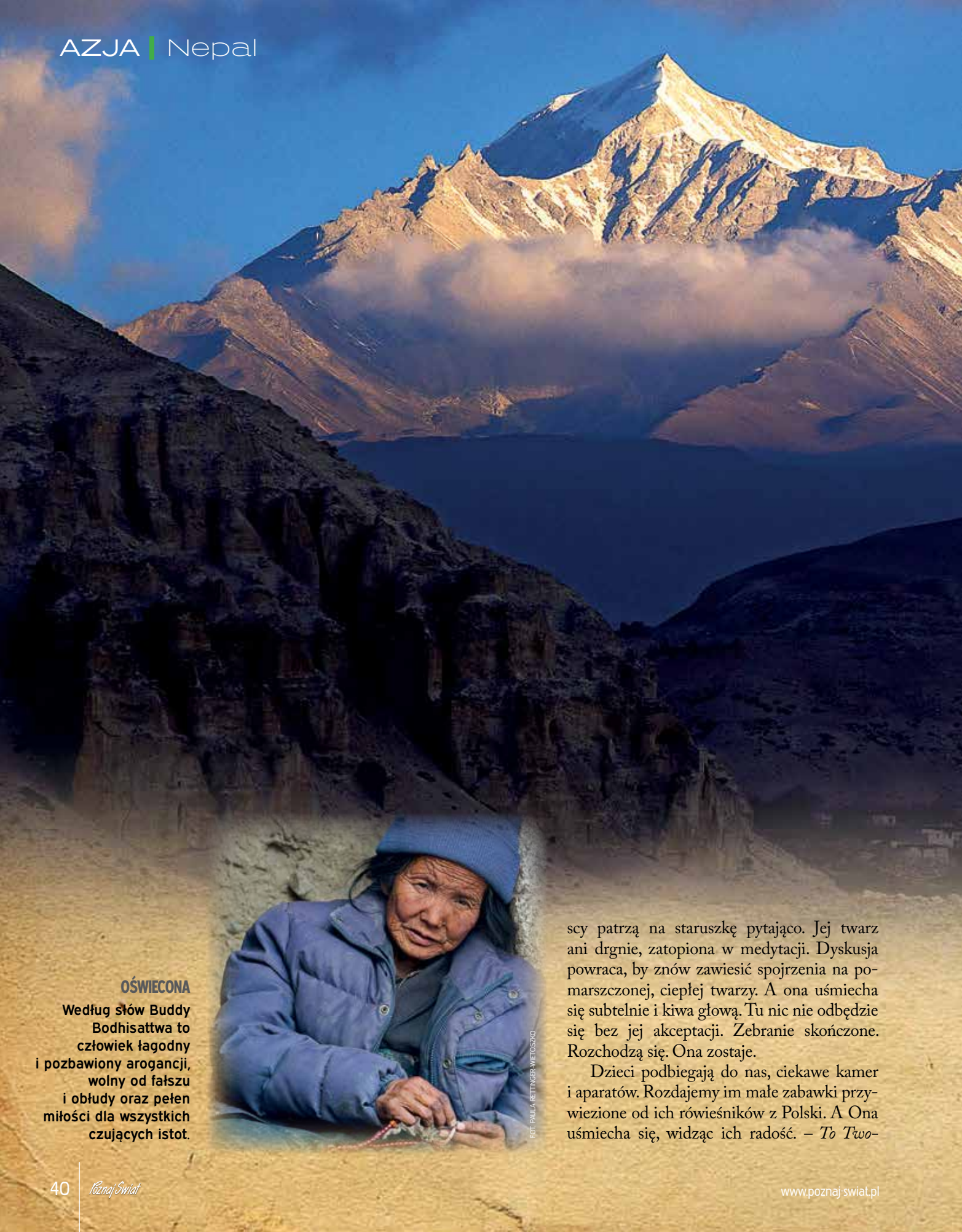
Nigdy nie zapomnimy tej podróży. Nawet Sonam przemierzył tę trasę pierwszy raz w życiu. Trzeba jednak uczciwie przyznać – kaniony zrobiły wrażenie na nas wszystkich. Kończąc nareszcie tę koszmarną wyprawę w Kagbeni, spekulowaliśmy, co było w workach. Na pewno coś twardego. Orzechy, może ryż? Może orzeszki ziemne lub inne suszone

owoce? Sherpa zanosił się śmiechem, słuchając naszych dywagacji – następnie oświecił nas informacją, że przywieźliśmy traktorem kilkadziesiąt worków twardych, suszonych... kozich bobków. *Shit Trip.*

WALUTA JEST UŚMIECH

Piękna, stara kobieta siedzi pod murem, mamrocząc mantry z *malą* (rodzaj buddyjskiego różańca) w dłoni. Jest jakby nieobecna, choć wokoło gwar wiejskiego zebrania. Mieszkańcy małej wioski Yara siedzą na klepisku, dyskutują – starszyzna wioski, kobiety i wszędobylskie dzieciaki. Nagle wszystko cichnie – wszy-





OŚWIECONA

Według słów Buddy Bodhisattwa to człowiek łagodny i pozbawiony arogancji, wolny od fałszu i obłudy oraz pełen miłości dla wszystkich czujących istot.

scy patrzą na staruszkę pytająco. Jej twarz ani drgnie, zatopiona w medytacji. Dyskusja powraca, by znów zawiesić spojrzenia na pomarszczonej, cieplej twarzy. A ona uśmiecha się subtelnie i kiwa głową. Tu nic nie odbędzie się bez jej akceptacji. Zebranie skończone. Rozchodzą się. Ona zostaje.

Dzieci podbiegają do nas, ciekawe kamer i aparatów. Rozdajemy im małe zabawki przywiezione od ich rówieśników z Polski. A Ona uśmiecha się, widząc ich radość. – *To Two-*

FOT. PALJA RETTINGER-WIETOSZKO

NAJGŁĘBSZA DOLINA ŚWIATA

Cichy poranek w Choser. Mustang otoczony jest kilkutysięcznymi, ośnieżonymi szczytami Himalajów. Głębokość doliny Kali Gandaki rozpiętej pomiędzy Annapurną i Dhaulagiri sięga nawet 6800 metrów. Zdjęcie zostało zrobione właśnie z tej doliny.

ja babcia? – pytam wesołego łobuziaka. – *To Bodhisattwa* – odpowiada. Wszystko staje się jasne. Bodhisattwa to człowiek, który dzięki medytacjom osiągnął oświecenie i żyje po to, by pomagać wszystkim spotkanym istotom osiągnąć szczęście. Według słów Buddy to człowiek łagodny i pozbawiony arogancji, wolny od fałszu i obludy oraz pełen miłości dla wszystkich czujących istot.

Trudno wyobrazić sobie, żeby ludzie żyli w większej symbiozie z naturą. A ona nie roz-

pieszcza. Jej głównym atrybutem jest wiatr. Wieje stale i bezlitośnie. To dlatego helikopter ratunkowy może tu dotrzeć tylko wieczorem lub wczesnym rankiem, kiedy wiatr na chwilę przysypia. To także jego zasługa, że lotnisko w Jomsom w dolnym Mustangu słynie jako jedno z najniebezpieczniejszych na świecie. Grozy dodaje pas startowy kończący się urwiskiem. Co roku zdarzają się tu tragiczne wypadki.

Być może natura broni dostępu do królestwa Mustangu? Zimą zasypuje wioski tak,



Paula Rettinger-Wietoszeko
Fotografik, grafik,
konserwator zabytków,
wspinacz i podróżnik.
Zakopianka. Współautorka
projektu Mustang Art&Climb
Expedition, w ramach
którego realizuje akcje
eksploracji i dokumentacji
grot medytacyjnych. Działa
charytatywnie na rzecz
mieszkańców Zaginionego
Królestwa.

MIESZKANKA I MIESZKANKA

Mustang przez kilkaset lat był zamknięty dla świata. Ludzie do dziś żyją tam tak, jak wieki temu. Na zdjęciu mieszkanca Jomsom uciera wonne zioła i przyprawę.

że komunikacja między nimi jest niemożliwa. Żałuje mieszkańcom opał i wody. A oni – uśmiechają się, zahartowani pracowitą codziennością. Wierząc w reinkarnację, dobrym życiem, życzliwością i kręceniem modlitewnych młynków starają się zasłużyć na odrodzenie w szczęśliwym świecie. Witają nas ciepło. Nieznajomość naszego języka nadrabiają gamą uśmiechów, ukłonów i radosnym „tashi delek”, które znaczy coś pomiędzy „niech szczęście będzie przy tobie” a „niech pokój i dobrobyt wypełni wszystko dookoła”.

JAKDONALDS I WIELKIE ZMIANY

Nadchodząca, nieodwracalna zmiana, o której mówił Sonam, nosi nazwę Himalayan Highway. To nowa droga, która biegnąc przez cały Mustang, połączy Chiny z położonymi po południowej stronie Himalajów nepalskimi miastami. Przyjadą nią do Mustangu tanie chińskie towary i rzesze turystów. Droga, której linia pokryje w dużym stopniu obecny trekkingowy szlak, praktycznie uniemożliwi pieszą wędrówkę i wypełni ciszę doliny echem silników ciężarówek. Sonam zamiast trekkingów będzie organizował tu wycieczki motocyklowe.

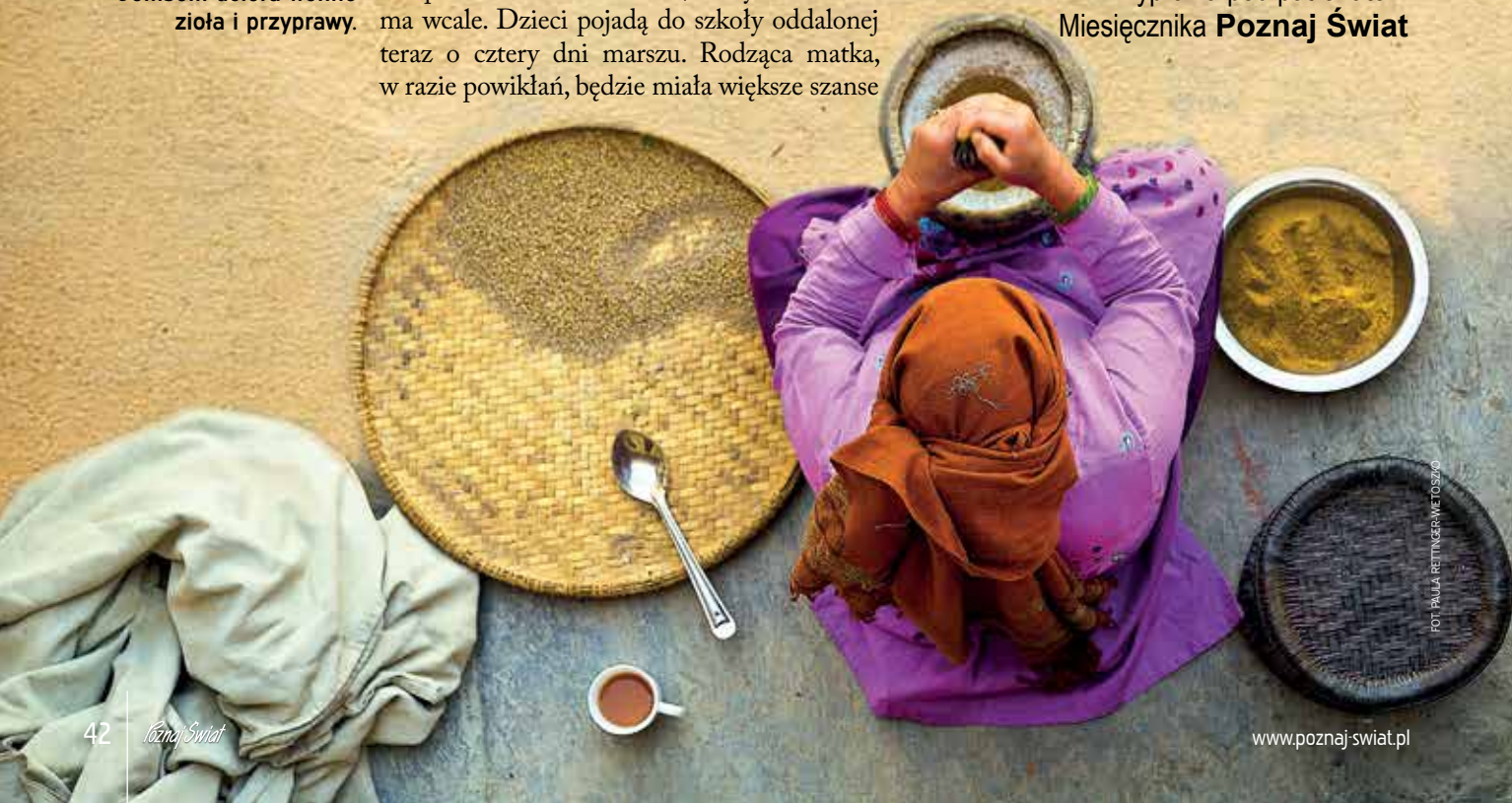
Jednak dzięki drodze dotrą tu także środki opatrunkowe i lekarstwa, których dziś nie ma wcale. Dzieci pojadą do szkoły oddalonej teraz o cztery dni marszu. Rodząca matka, w razie powikłań, będzie miała większe szanse

na przeżycie, bo pojedzie do szpitala. Pewnie częściej odwiedzi ją brat czy mąż, którzy wyjechali za chlebem do Pokhary czy Kathmandu.

Mieszkańcy są przyzwyczajeni do epokowych zmian. Wielu z nich pamięta jeszcze, jak dwadzieścia lat temu granice Mustangu zostały otwarte i pojawili się cudzoziemcy, a z nimi powoli, ale wytrwale dreptała cywilizacja. Dziś osiągnęła taki poziom, że choć wciąż pali się w kuchennej „kozio” kupami jaka, to wielu miejscowych ma telefon komórkowy. Nad klepiskiem świeci lampka solarna z baterią słoneczną na glinianym dachu. Gospody noszą nazwy Hil-Ton hotel czy Annapurna HolidayInn, i zamiast na klepisku śpi się w nich na drewnianych łóżkach. A kotlet z jaka z frytkami można zjeść w restauracji JakDonalds. Zwolennicy nowej drogi uważają też, że Mustang wraca do tradycji, znów jak kilkaset lat temu stając się szlakiem handlowym między Nepalem a Chinami.

Warto zadać sobie pytanie, czy zauroczeni atmosferą mamy prawo oczekiwać, by ta kraina stała się żywym skansenem, w którym wraz z kulturą zostanie „zamrożone” życie jego mieszkańców? Ludziom wchodzącym do Mustangu zwyczajowo mówi się, by zostawili tam tylko ślady swoich stóp. Może właśnie tak trzeba zrobić. ○

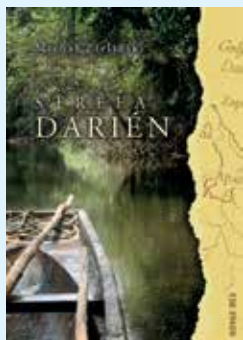
Wyprawa pod patronatem
Miesięcznika **Poznaj Świat**



GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

PRZEZ PRZESMYK



Książka Michała Zielińskiego to osobisty zapis wrażeń z wyprawy do jednego z najmniej uczęszczanych rejonów świata

– południowoamerykańskiej selwy, czyli dżungli. Siedmioosobowa ekspedycja miała na celu ekspolorację przesmyku Darién dzielącego Panamę i Kolumbię, który ze względu na swoje trudno dostępne położenie jest praktycznie nieuczęszczany przez ludzi, a wykorzystywany jedynie w celach tranzytowych przez kolumbijskich partyzantów (FARC) i kartele narkotykowe.

W dniach 14-16 listopada odbędzie się święto wszystkich miłośników gór. W Karpaczu w Hotelu Gołębiowski rozpocznie się piętnasta edycja „Karkonoskich Dni Lajtowych” organizowanych przez Miasto Karpacz oraz Polski Klub Alpinistyczny. W czasie festiwalu wielbiciele gór

KULTURALNE SPOTKANIA

Mędzy 7 a 15 listopada we Lwowie i Kijowie już po raz czwarty organizowany jest festiwal Art Meetings w Ukrainie, mający na celu upowszechnienie i promocję współczesnej kultury europejskiej i inicjowanie międzynarodowej współpracy kulturalnej. W ramach projektu odbywają się koncerty, warsztaty artystyczne, happeningi, wystawy i inne wydarzenia angażujące miejscową społeczność. Art Meetings obok wydarzeń artystycznych zakłada również organizację międzynarodowego forum networkingowego Share the Culture – cyklu dyskusji, spotkań i prezentacji ekspertów z różnych krajów. Uczestnikami forum będą najbardziej wpływowi managerowie kultury z całej Europy. Wszystkie osoby zainteresowane Ukrainą i kulturą zapraszamy do wsparcia międzynarodowej akcji społecznej „Ukraina - Wspieram Dialog”, w ramach której zbierane są środki na działania projektowe. www.artmeetings.eu



będą mogli obejrzeć filmy poświęcone tematyce górskiej, wysłuchać relacji z wypraw, spotkać się i podyskutować z elitą polskiego i światowego alpinizmu oraz z gwiazdami sceny wspinaczkowej. www.dnilajtowe.pl

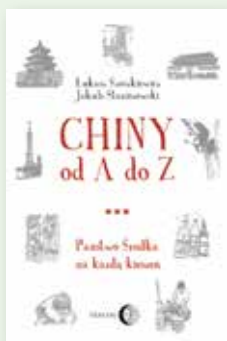
SAK YAN

Od 29 listopada w warszawskim Muzeum Azji i Pacyfiku będzie można oglądać wystawę fotografii Matthieu Duquenoisa „Sak Yan – magia tajskiego tatuażu”. Matthieu zjawiskiem tajskiego tatuażu zajmuje zarówno jako badacz, jak i praktyk. Był tatuowany przez ponad 25 mistrzów Sak Yan. Jest drugim Europejczykiem, który dostąpił zaszczytu zostania ajarnem, czyli mistrzem tatuażu tajskiego. W Polsce będzie demonstrował tradycyjną technikę tatuowania na Warsaw Tattoo Con-



FOT. MATTHIEU DUQUENOIS

Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o Chinach



Książka „Chiny od A do Z. Państwo Środka na każdą kieszeń” stanowi praktyczną i użyteczną pomoc dla tych, którzy wybierają się tam, dysponując ograniczonymi funduszami. Układ książki sprawia, że – idąc za radą autorów, Jakuba Staniszewskiego i Łukasza Szoszkiewicza – można ją czytać na wiele sposobów – jednym tchem, jak dziennik z podróży, ale też na wrywki, wyciągając z niej to, co akurat okazuje się potrzebne. Autorzy starają się zarysować panoramę całej sytuacji współ-

czesnych Chin, nie unikając mówienia o ich problemach. Couchsurfing – nowatorski sposób podróżowania, który autorzy stosowali przemierzając Państwo Środka, otwiera całkiem inne, dotąd niedostępne możliwości poznawania świata. Czy dla wszystkich? Czy tylko dla odważnych? Odpowiedź kryje się w książce.

W CHILEout owana

Pod koniec listopada Edyta Siedlecki wyruszy w podróż przez Chile, Argentynę i Boliwię. W pogoni za dziecięcym marzeniem podróżniczka chce przejechać rowerem chilijską i częściowo argentyńską Patagonię. Pokona 2000 kilometrów i zmierzy się z powszechnie znaną opinią na temat nieprzystępności tych regionów. Samotna przeprawa oprócz walorów poznawczych ma jeszcze jeden cel. Edyta chce udowodnić sobie i innym kobietom, że egzystowanie w trudnych warunkach nie musi być wyłącznie domeną mężczyzn, a wymiana koła w rowerze i roz-



FOT. EDYTA SIEDLECKI

kładanie namiotu w pojedynkę jest łatwiejsze niż malowanie paznokci. Wyprawa z założenia potrwa ponad dwa miesiące, a jej efektem będzie materiał dotyczący mieszkańców Patagonii.

vention. Sak Yan (taj. *sak* oznacza „nakłucie” czy „dźgnięcie”, natomiast *yan*, *yant*, *yantra* – „święty symbol”) jest częścią synkretycznej religii Tajów, wywodzącą się z najstarszych wierzeń animistycznych oraz braminizmu i buddyzmu. Pojawiające się na skórze mistyczne zwierzęta i bóstwa, otoczone mantrą czy świętym zaklęciem *katha*, są niczym talizman, mający zapewnić siłę, odwagę, powodzenie w miłości czy ochronę przed ranami.

www.sakyan.pl www.muzemazji.pl

Walka z wiatrakami?



Na rynku ukazała się książka „Holandia. Presja depresji” wydawnictwa Muza. To wciągająca i osobista opowieść o kraju, który morzu wydarł ziemię, a światu dał wielu wybitnych

uczonych, malarzy i wizję futbolu totalnego. Marek Orzechowski opowiada o zaskakującej historii i frapującej teraźniejszości kraju. O tym, jak warunki geograficzne, polityczne i społeczne zahartowały Holendrów i uczyniły z nich ludzi nawykłych do wspólnego działania, wytrwałych, upartych, oszczędnych aż do skąpstwa, tolerancyjnych, ale i niedostępnych. Lektura książki pozwala zrozumieć, dlaczego panuje tam tolerancja, dlaczego wiele rzeczy niemożliwych gdzie indziej w Holandii nie jest walką z wiatrakami, ale codziennością.



CZARY Z TATR

Dlaczego warto dać pannie młodej przed ślubem kromkę chleba? Co się stanie, jeśli sprowadzimy się do nowego domu w okresie postu albo idąc, lewą nogą przekroczymy swój cień? Górale na wszystko mają swoje sprawdzone magiczne sposoby. Znajdziemy je w książce

„Czary góralskie” Urszuli Janickiej-Krzywdy i Katarzyny Ceklarz.

W kulturze ludowej górali magia pełniła niegdyś jedną z głównych funkcji opisywania i systematyzowania rzeczywistości. Świat gór, a Tatr w szczególności, bez wątpienia jest tajemniczy i zadziwiający. Góralskie czary muszą mieć wielką moc. Magia mieszkańców gór została ujęta w opowieść o realnie istniejących i stosowanych do dziś praktycznych zabiegach górali podhalańskich i beskidzkich. Dzięki 237 hasłom dowiemy się między innymi, jak zapewnić gospodarstwu dobrobyt, dlaczego w nocy powinniśmy unikać pożyczek, co leczy czerwonym winem, herbatą lub popiołem z papierosa, a także dlaczego żebrakom warto rozdawać chleb i jak rozpoznać podpalacza. Książka wydana przez Tatrzański Park Narodowy.

ZROZUMIEĆ KANADĘ

Głównym celem tegorocznej, trzeciej już, edycji Festiwalu Kultury Kanadyjskiej będzie przybliżenie nie tylko historii i kultury kanadyjskiej rdzennej ludności, ale również ich codziennych zwyczajów oraz podejścia do otaczającego świata. Najważniejszymi wydarzeniami festiwalu będzie spotkanie z autorem jedynej w Polsce podręcznika o historii Kanady, panem prof. Janem Grabowskim, oraz z Katarzyną Dąbrowską, reżyserką filmu dokumentalnego o problemie samobójstw wśród Inuitów. Wydarzenie jest organizowane przez Koło Naukowe Amerykanistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Festiwal potrwa od 17 do 21 listopada.



PODRÓŻ PO LEGENDACH



Republika Południowej Afryki. Dzikość przyrody, ruchliwe ulice wielkich miast i bezdroża w głębi kraju. Turystyczna rzeczywistość zderzona z brawurowo zreinterpretowanym światem afrykańskich mitów. Podróż w odległą mentalność. Opowieść o jednym z najbardziej fascynujących krajów świata.

Zmysłowa, na wpół baśniowa włóczęga przez świat magii i archetypów Czarnego Łądu. Orbitowski w „Zapiskach Nosorożca” mówi o Afryce w sposób, w jaki nie zrobił tego nikt do tej pory.

Zapraszamy Państwa do udziału w projekcie

Turystyka na miarę XXI wieku

Udział w projekcie jest bezpłatny

Projekt skierowany jest do właścicieli i pracowników mikroprzedsiębiorstw, małych przedsiębiorstw oraz średnich przedsiębiorstw, które działają w branży turystycznej oraz posiadają jednostki organizacyjne na terenie Polski.

Osoby ubiegające się o kwalifikację do udziału w Projekcie muszą spełniać łącznie następujące kryteria:

1. zatrudnienie na terenie Polski
2. spełnienie warunków uznania za pracownika w rozumieniu art. 3 ust.3 Ustawy z dnia 09.11.2000 r. o utworzeniu Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości (Dz. U. z 2007 r. nr 42, poz. 275 z późn. zm.)
3. posiadanie statusu pracownika
4. osoby te muszą być uwzględniane przy obliczaniu progu zatrudnienia dla ustalania statusu przedsiębiorcy (mikro, mały lub średni przedsiębiorca), a zatrudnienie musi być w przedsiębiorstwie, którego jednostka organizacyjna znajduje się na terenie Polski.

Grupą uprzywilejowaną podczas procesu rekrutacji są kobiety oraz pracownicy po 50. roku życia.

Szczegółowy opis projektu oraz możliwość zgłoszenia uczestnictwa znajduje się pod adresem:

turystyka21.way2.pl

Każdy uczestnik projektu weźmie udział w 3 z 6 modułów:

1. Ekologiczne zarządzanie energią elektryczną
2. Ekologiczne zarządzanie energią cieplną
3. Ekologiczne zarządzanie odpadami
4. Ekologiczne zarządzanie gospodarką wodną
5. Edukacja ekologiczna
6. Finansowanie działań ekologicznych: fundusze UE i krajowe, procedury aplikacyjne



KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRATEGIA INICJATYWA

PARP

WAY 2

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ SPÓŁCZNY

Projekt współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego



2012
KF
2x7 Keneve
F: VIII. 07.

2012
M
2x7 Keneve
F: VIII. 07.

FOT. ANNA DROBOWSKA

Konrad Drozdowski

6014
W
Egerze
byćzo jest!

PÓŁNOCNE WĘGRY TO MIEJSCE,
W KTÓRYM MOŻNA POCZUĆ SIĘ
NAPRAWDĘ DOBRZE.
WINO, ŚWIETNA KUCHNIA
I OGROMNA LICZBA BASENÓW
Z WODĄ TERMALNĄ.
A TO WSZYSTKO ZALEDWIE
PIĘĆ GODZIN JAZDY
OD POLSKIEJ GRANICY.

Główne miasto północnych Węgier to Miskolc, jednak odwiedzić warto zacząć od Egeru, który jest najpiękniejszym miastem regionu. Kojarzy się ze słynnym winem Egri Bikaver (Bycza Krew), którego nazwa pochodzi jeszcze z czasu najazdów tureckich. Jedną z legend głosi, że kapitan István Dobó, dowodzący obroną zamku w Egerze, pozwolił swoim żołnierzom na picie wina dla podtrzymania bojowego ducha. Turcy oblegający miasto zobaczyli pokryte czerwienią brody obrońców, sądząc, że to bycza krew, którą piją, i która daje im niesamowitą siłę. Przestraszeni odstąpili od oblężenia. Inna opowieść tłumaczy, że to sami Turcy wymyślili nazwę „bycza krew”, aby ukryć spożywanie wina zabronionego przecież muzułmanom.

W DOLINIE PIĘKNEJ PANI

„Węgrzyn” obecny był na polskich stołach od stuleci, a w okresie PRL-u kojarzył się rzeczywiście z niedrogim Egri Bikaver – przemysłowym winem rozlewany przez państwowe molochy. Obecnie węgierscy producenci starają się na nowo przekonać polskich konsumentów, że ich produkty mogą śmiało konkurować z winami francuskimi, hiszpańskimi czy włoskimi, również dzięki dość atrakcyjnym

cenom. W regionie uprawia się *cabernet sauvignon*, *pinot noir* czy lokalny *kekfrankos*. Eger to nie tylko wina czerwone, ale także biała Egri Leányka (Egerska Dziewczyna) czy *cuvée* o nazwie Egri Csillag (Gwiazda Egeru).

Jeśli w Egerze zapytamy o degustację wina, zostaniemy zapewne skierowani do Doliny Pięknej Pani (Szépasszony-völgy), gdzie na niewielkiej przestrzeni, wśród malowniczych wzgórz, znajduje się kilkadziesiąt piwniczek, w których można próbować do woli. Panuje tu atmosfera pikniku, odwiedzający przyjeżdżają z własnym prowiantem i rozstawiają grille, oczywiście popijając lokalnymi trunkami. Z centrum miasta można tam dojść w 30-40 minut, jednak najlepiej skorzystać z minikolejki, z której można podziwiać malownicze wzgórze.

Większość win jest dość przeciętnej jakości, za to w bardzo atrakcyjnych cenach. Spragnieni mogą zdecydować się nawet na zakup wina w plastikowych butlach o pojemności od 1,5 do 5 litrów. Kilka winnic oferuje droższe trunki, których cena wynosi 30-50 złotych za dobre roczniki. Polacy nie cieszą się opinią znawców wina, dlatego lokalni sprzedawcy przygotowują specjalne zestawy trunków słodkich i półsłodkich, które trafiają w gusta naszych rodaków.

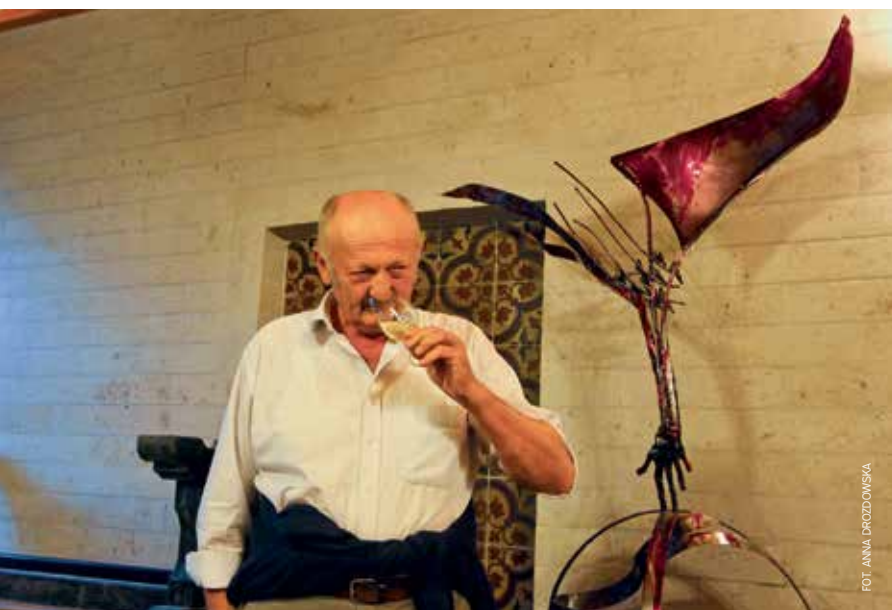
WINO POD PSEM PATI

Najbardziej cenione winnice w okolicy należą do Ferencza Tótha. Właściciel to człowiek całkowicie oddany swojej pasji, ma ponad 70 lat, ale bierze jeszcze udział w większości prac przy uprawie i zbiorach. Efektem są fantastyczne wina, z których najśłynniejsze to Egri Bikaver oraz Egri Csillag.

Tradycje winiarskie na Węgrzech przekazywane są z pokolenia na pokolenie – większość egerskich winnic to rodzinne przedsiębiorstwa, działające na niedużą skalę, których produkcja kierowana jest na lokalny rynek. Najlepiej więc kupować wino bezpośrednio u producentów, dzięki czemu zyskamy też możliwość zwiedzania piwnic, w których przechowywany jest trunek. Większość z nich została wydrążona w skale tufowej tworzącej otaczające Eger wzgórze. Ta wulkaniczna skała jest łatwa do obróbki, a jednocześnie na

FERENC WINIARZ

Najlepsze wina w okolicy produkuje Ferenc Tóth, wykonując w tym celu wszelkie konieczne prace – jest właścicielem, robotnikiem w winnicy oraz kiperem.



FOT. ANNA DRODOWSKA

KRWAWE MIASTECZKO

Eger – stąd płynie w świat rzeka Byczej Krwi. Miasto jest ładne i zadbane, ma ciekawą historyczną architekturę.





WINNY KOMPLEKS

Piwnice Bolyki, wydrążone w ścianach dawnego kamieniołomu. Integralną częścią tej winnicy są też sale bankietowe oraz amfiteatr.

tyłe wytrzymała, że nie wymaga skomplikowanych wzmocnień. Ściany i sufity mrocznych i zimnych piwniczek, w których przechowywane jest wino, pokryte są szlachetną pleśnią, tworzącą właściwy mikroklimat, a jednocześnie pełniącą funkcję biologicznego alarmu. Kiedy warunki do przechowywania butelek stają się nieodpowiednie, na przykład za sprawą zbyt wysokiej temperatury, wygląd pleśni ulega zmianie, co jest sygnałem, że trzeba interweniować...

W najgłębszych czeluściach piwnic leżą najdroższe butelki przeznaczone na specjalne okazje. Pomimo że są całkowicie pokryte warstwą kurzu, właściciel winnicy doskonale zna każdą z nich. Nic dziwnego – cena niejednej z tych butelek przekracza kilkadziesiąt razy cenę wina z młodszych roczników. Zakup obarczony jest jednak sporym ryzykiem, bo po tak długim czasie przechowywania wino może być bardzo dobre, ale

może też okazać się dalekie od oczekiwań. Dlatego część butelek prawdopodobnie nigdy nie zostanie otwarta, stanowiąc cenny eksponat winnej kolekcji.

Węgierscy winiarze coraz częściej zdają sobie sprawę z tego, że produkcja wina jest ważna, jednak równie istotne jest zbudowanie wokół niej marketingowej otoczki. Enoturystyka na świecie to znaczące źródło dochodu dla winiarzy. Przykładem nowoczesnego podejścia do produkcji i sprzedaży jest winnica Bolyki. Mieści się w dawnym kamieniołomie, a właścicielowi, oprócz wydrążenia imponujących piwnic, udało się urządzić tu amfiteatr, w którym odbywają się przyjęcia weselne, a nawet koncerty rockowe. Wszystkich odwiedzających Bolyki wita pies Pati, który uwielbia bawić się z gośćmi. Jego imieniem zostało nazwane jedno z najlepszych różowych win, a sylwetka zwierzęcia znalazła się na etykiecie.





SZACHY NA BASENIE

Eger to piękne barokowe miasto z zabytkową zabudową i takimi perłami architektury, jak budynek liceum z obserwatorium astronomicznym. Ogromne wrażenie robi również zamek, w którym Węgrzy dzielnie bronili się przed wojskami tureckimi. Na murach zachowało się dużo urządzeń wojennych oraz oryginalne armaty. Obrona egerskiego zamku to jedno z najważniejszych wydarzeń w historii Węgier.

Gorące lato sprzyja całodziennym piknikom na terenach miejskich basenów. Takiego kompleksu wodnego nie powstydziliby się niejeden śródziemnomorski ośrodek *all inclusive* czy aquapark. Węgrzy kochają wodę, więc nawet najmniejsza miejscowość ma swój basen, a co dopiero taki Eger. Zwłaszcza że posiada własne źródła termalne, bogate w leczniczy radon. Można się tu kąpać w kryształicznie czystej wodzie wypływającej bez-

pośrednio z podziemnych źródeł i korzystać z zabiegów hammam w kilkusetletniej łaźni tureckiej. Węgierskie kąpieliska to prawdziwy socjologiczny fenomen. Nigdzie indziej na świecie nie znajdziemy na basenach tylu plotkujących godzinami pań czy grających w szachy starszków. Tu się po prostu miło spędza czas. Przy okazji można podleczyć reumatyzm czy poprawić krążenie.

Komu nie wystarczą egerskie baseny, może odwiedzić okoliczne kąpieliska, których kilkanaście znajduje się w odległości półgodzinnej jazdy od centrum miasta. Bukkszek posiada najdłuższą w tej części Europy zjeżdżalnię, a Mezökövesd baseny o największym stężeniu siarki. Warto też odwiedzić Egerszalok z niesamowitymi naciekowymi formacjami wapiennymi utworzonymi przez wypływającą z głębi ziemi wodę o unikalnym składzie mineralnym. (Podobne formacje możemy

WĘGIER WODNY

Baseny miejskiego kąpieliska, czyli ulubione miejsce węgierskiego wypoczynku. To w Egerze wypełnione jest wodą termalną o różnicowanej temperaturze.

LANIE WODY

Wulkaniczne dziedzictwo Egeru sprawia, że z wód leczniczych korzystać można tam dosłownie wszędzie. Kąpiele w nich, w tym bicz wodne, łagodzą podobno wiele dolegliwości.

znaleźć w Pamukkale czy parku Yellowstone). To światowej klasy ośrodek wypoczynkowy z basenami i profesjonalnym spa, z którego można korzystać przez cały rok.

WYPAD DO BRATANKÓW

Zaledwie godzinę jazdy samochodem od Egeru znajduje się Miskolc, czwarte co do wielkości miasto Węgier. Pomimo przemysłowego charakteru warto je odwiedzić ze względu na kilka prawdziwych atrakcji turystycznych. Jedną z nich jest kompleks basenów znajdujących się w jaskiniach (Barlangfürdő), zasilanych wodą termalną. Ściany jaskiń zostały nieco wygładzone dla bezpieczeństwa pływających, ale wewnątrz zachowało surowy wygląd. Atmosferę podkreślają nastrojowe oświetlenie oraz spływające po ścianach miniwodospady.

Prawdziwie unikatowy jest Lillafüred – kurort położony w Górach Bukowych nad malowniczym jeziorem Mori, będący formalnie częścią Miskolca. Centralną częścią kurortu jest neorenesansowy hotel otoczony wspaniałym parkiem. Zaledwie parę minut drogi od jeziora znajduje się największy na Węgrzech sztuczny wodospad, w pobliżu są też dwie słynne jaskinie – św. św. Anny oraz Stefana. Do Lillafüred dojechać można samochodem, można też wąskotorową kolejką, która spacerowym tempem pokonuje porośnięte bukami wzgórze.

Północne Węgry to doskonały kierunek na kilkudniowy wypad. Najlepszym momentem na taką wizytę jest – poza wakacjami – jesień, kiedy można obserwować mieniające się kolorami wzgórze i korzystać z atrakcji winobrania. Także temperatura powietrza w tym czasie jest o kilka stopni wyższa niż w Polsce. Kąpieliska na świeżym powietrzu, dzięki źródłom termalnym, są otwarte nawet do października, a większość z nich ma też część krytą, działającą przez cały rok. Jesień to również doskonały moment dla entuzjastów dobrej węgierskiej kuchni. Dostępne są wtedy najbardziej dojrzałe warzywa stanowiące jej podstawę, w tym oczywiście papryka.

Z południowej Polski do tych przyjemności to zaledwie trzysta kilometrów. ○



Konrad Drozdowski

Miłośnik podróży wszelkiego typu: od spontanicznych weekendowych wypadów, po ekspedycje planowane z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. Z wykształcenia dziennikarz, zawodowo zajmuje się reklamą. Wielobiciel dobrej kuchni i wina.



FOT. ANNA DROZDOWSKA



FOT. ANNA DROZDOWSKA

DOBRE NA NERWY

Niedaleko kurortu Lillafüred pod Miskolcem znajdują się dwie unikalne jaskinie św. Anny i św. Stefana (na zdjęciu) – wypełnione pięknymi wapiennymi formami. Klimat tych miejsc dobrze wpływa na układ nerwowy i oddechowy.

ÓSMY W KORONIE

Robert Gondek



Mało kto wie o ich istnieniu. Większość turystów zapytanych o nazwy gór w Afryce wymieni Kilimandżaro w Tanzanii, Mount Kenya w Kenii, Atlas w północnej oraz Góry Smocze w południowej części kontynentu. Może jeszcze Góry Księżycowe w Ugandzie. O Mlandzi na terenie Malawi nie wie prawie nikt. A tam właśnie zdobyłem swój ósmy szczyt afrykański!





WYJŚCIE NA BRZEŻ

Targowy poranek w jednej z setek wiosek nad olbrzymim jeziorem Malawi, zajmującym jedną piątą powierzchni kraju o tej samej nazwie.

Malawi zajmuje 118 tysięcy km² i położone jest w południowo-wschodniej Afryce. Graniczy z Tanzanią, Zambią i Mozambikiem. Ten kraj nazywany jest również Gorącym Sercem Afryki, choć ze względu na swoje wyżynne położenie nie jest aż taki gorący. Zamieszkuje go prawie 17 milionów ludzi, z których blisko dwie trzecie to lud Chewa, posługujący się językiem chichewa. Stolicą jest miasto Lilongwe.

JEZIORO ŻYCIA

Malawi rozciąga się wzdłuż Wielkiego Rowu Zachodniego, będącego częścią Wielkich Rowów Afrykańskich. Powierzchnię kraju pokrywają liczne płaskowyże, leżące na wysokości ponad 1000 m n.p.m. Dzięki temu panujący tu podrównikowy klimat nie jest dokuczliwy. Malawi nie należy do popularnych kierunków wakacyjnych, mimo że bogactwem swojej przyrody może naprawdę zachwycić. Znajdziemy tu nieczęsto odwiedzane parki narodowe i rezerwy (Liwonde, Majete Wildlife Reserve, Nkhotakota Wildlife Reserve), pełne słoni, antylop, hipopotamów, krokodyli i pięknych ptaków. Przede wszystkim jednak kojarzone jest z trzecim pod względem wielkości afrykańskim jeziorem Malawi (zwanym również Niasa), którego wody pokrywają aż 20 proc. powierzchni kraju.

Jezioro jak morze ma ogromne znaczenie w życiu codziennym Malawijczyków, głównie ze względu na obfitość ryb, stanowiących podstawowy składnik tutejszego menu. Ten



FOT. ROBERT GONDEK

ADVENTURE CLUB
WYPRawy
**AUTORSKIE WYPRAWY
 NA 7 KONTYNTÓW**
 Polecamy: SIERRA LEONE, SUDAN, SUDAN
 POŁUDNIOWY, LIBERIA, BENIN, REPUBLIKA
 ŚRODKOWEJ AFRYKI, ZIMBABWE, KAMCZATKA,
 NIGERIA, KAMERUN, GABON, CZAD, PAKISTAN,
 TURKEMENISTAN, KIRGISTAN, PAPEA NOWA
 GWINEA, ISLANDIA i wiele innych.

ADVENTURE CLUB tel. 61/22-37-611
 info@adventure-club.eu
 www.adventure-club.eu

REKLAMA



FOT. ROBERT GONDEK

ogromny akwen jest również popularnym miejscem wypoczynku. Ma piękne, piaszczyste plaże i znakomite warunki do uprawiania *snorkelingu*. Wody jeziora przyciągają także pasjonatów akwarystyki, znajdujących tu wiele endemicznych gatunków ryb, m.in. pielęgnic. Na jego południowym krańcu znajduje się Lake Malawi National Park. To pierwszy park narodowy na świecie obejmujący swoim obszarem wody zbiornika słodkowodnego. W 1984 roku wpisany został na listę światowego dziedzictwa.

TROCHĘ KWACHU, I PO STRACHU

Jest jeszcze jeden powód, dla którego warto odwiedzić Malawi. To mało znane góry Mlandzi – masyw leżący w południowo-wschodniej części kraju, w pobliżu granicy z Mozambikiem, zajmujący około 600 km². Dla mieszkańców Afryki, szczególnie tych, którzy pasjonują się wspinaczką, Mlandzi nie są obce. Na ich terenie jest kil-

ka wierzchołków powyżej 2500 m n.p.m., ale przede wszystkim jest góra Chambe, na której ścianie zachodniej znajduje się najdłuższa afrykańska droga wspinaczkowa.

Najlepszy okres na wędrowkę po Mlandzi to przełom września i października, który poprzedza nadchodzącą z początkiem listopada gorącą porę deszczową. Dni są wtedy ciepłe, a deszcz pojawia się rzadziej. Podczas wędrowki znajdziemy dobrze przygotowane szlaki i doskonałą bazę noclegową – osiem górskich chatek rozmieszczonych wysoko w górach. W każdej z nich jest drewno na opał i piecyk typu koza, zapewniający ciepło podczas chłodnych nocy. Do dyspozycji turystów jest też zawsze kilka materacy. I co ciekawe, w chatkach można dostać nawet coca-colę (zresztą w Afryce można ją dostać prawie wszędzie). Chatki rozmieszczone są tak, aby można było spędzić w górach kilka dni, wędrując pomiędzy nimi, a wieczorami cieszyć się wspaniałymi widokami okolicznych szczytów. Każde z tych miejsc ma też swojego stałego gospodarza.

REJSY BEZ LIMITU

Podobnie jak w lokalnych autobusach (matolach) w komunikacji wodnej limity pasażerów też nie obowiązują. Chwała Bogu (to właśnie znaczy w miejscowym języku „Vitumbiko”), ostatnio nikt tutaj nie utonął.

OBŁOKÓW FANTASMAGORIA

Gdy chmury rozwiewają się, w „oknie pogodowym” ukazują się Mlandzi, z doliną Thuchila w tle.



FOT. ROBERT GONDEK

WARUNKI CIEPLARNIANE

Wnętrze dobrze wyposażonej turystycznej chatki Chisepo, gdzie ogień z kominka uprzyjemnia wędrowcom chłodne wieczory.



FOT. ROBERT GONDEK

kach Afryki, w Malawi rekomenduje się wynajęcie przewodnika i tragarza. Pomimo że góry te nie są masowo odwiedzane, w okolicy znajdziemy wiele osób zarabiających w ten sposób. Warto skorzystać z ich ofert, unikając ewentualnych przykrych niespodzianek w trakcie wędrowki.

Marszrutę najlepiej rozpocząć w miejscowości Mlandzi lub w niewielkiej wiosce Likhubula. Z obu miejsc prowadzi w góry kilka alternatywnych szlaków. Podobnie jak podczas trekkingów po innych, bardziej znanych ścież-

To, co odróżnia malawijskie góry od Kili-mandżaro, to koszty tragarzy, przewodników i organizacji trekkingu – są po prostu dużo niższe. Oficjalne ceny obowiązujące na terenie rezerwatu można znaleźć przy jego bramach lub na stronach Mountain Club of Malawi



FOT. ROBERT KOZŁEK

FIRE BLOCKADE

Widoczne wszędzie na stokach wykarczowane pasy ziemi zapobiegają rozprzestrzenianiu się pożarów.

(www.mcm.org.mw). Mnie wynajęcie przewodnika kosztowało 3500 kwacha dziennie (około 9 USD), a tragarza – 3000 kwacha (7,5 USD); koszt noclegu to 1000 kwacha (2,5 USD), a opłata wejściowa do rezerwatu 100 kwacha.

SAPITWA PEAK – NIE IDŹ TAM!

Mlandzi znalazły się na trasie mojej podróży jako jeden z etapów prowadzonego przeze mnie projektu „W drodze na najwyższe szczyty Afryki”. Tym razem celem było zdobycie najwyższego szczytu Sapitwa Peak, mierzącego 3002 m n.p.m. Nazwa tej góry w dokładnym tłumaczeniu to „miejsce, do którego ludzie nie chodzą”. Malawijczycy wierzą, że bóstwa, które dawniej zamieszkiwały jej okolice, w dalszym ciągu są tam obecne. W ich opowieściach wciąż powtarzane są re-

lacje o zaginionych w rejonie szczytu ludziach, a spotkani na szlaku przewodnicy opowiadają takie historie ku przestrodze – ludzie nie przestrzegają obowiązujących zasad, i bóstwa ich za to karzą. Wędrowcy giną w gęstej mgłę, spadają w przepaść albo umierają z wycieńczenia. Miejscowi szczerze wierzą w te opowieści, i dlatego na Sapitwa Peak nie chodzą.

Nie przejmując się tym, postanawiam górę zdobyć. Trekking nie zapowiada się ciężko, nie przewiduję większych trudności technicznych. Mocno dziwię się więc, gdy na umówionym spotkaniu mój przewodnik, George, pojawia się z liną wspinaczkową. Okazuje się, że jest jedno takie miejsce, w niewielkiej odległości od wierzchołka, gdzie przy deszczowej pogodzie może być bardzo ślisko. Trekking rozpoczynamy w wiosce Likhubula. Planuję spędzić w górach trzy dni. Na szczyt zamierzam wejść drugiego dnia.

CO MI MÓWISZ, GÓRSKI STRUMIENIU?

Jeden z licznych, malowniczych i zachęcających do zadumy górskich strumieni – ten na szlaku prowadzącym z wioski Likhubula.





FOT. ROBERT GONCZEK

Trasa prowadzi początkowo przez kolorowy, nieco wyschnięty las, w którym robi się raptem bardzo głośno. To cykady. Musi ich być wyjątkowo dużo, bo aż uszy bolą. Nie jest stromo. Ścieżka przeplata się z zapomnianą drogą, po której już dawno nie jeżdżą pojazdy. W kilku miejscach mijamy strumyk, tworzący urocze wodospady i oczka wodne. W wodzie bawią się dzieci, które przyszły tu z rodzicami na piknik. To dobre miejsce, aby odpocząć od wzmagającego się upału i nieco się orzeźwić w chłodnej wodzie.

Po ponad trzech godzinach dochodzimy do przełęczy, z której rozpościera się wspaniały widok na mierzące ponad 2000 m n.p.m. szczyty: Nandalanda, Khuto i Dzole. Zauważam też wyraźne linie na zboczach gór. To wykarczowane pasy ziemi, zapobiegające rozprzestrzenianiu się ognia w przypadku ewentualnego pożaru. Cel dzisiejszej wędrowki – Chisepo Hut, znajdujący się na wysokości 2219 m n.p.m., osiągamy po sześciu godzinach niezbyt intensywnego marszu. Ładnie usytuowany domek nad rozległą doliną Thuchila stoi dobrze osłonięty od wiatru.



FOT. ROBERT GONCZEK

TOWARZYSZE Z BRONIĄ (JEDNĄ)

Ekipa pięciu miejscowych przewodników, którzy towarzyszą w podróżach po mało znanych górach Mafinga, leżących na terytorium Malawi i Zambii.



TY NAD POZIOMY WYLATUJ

Wędrowka ponad chmurami uskrzydla i dostarcza niezapomnianych wrażeń. Z prawej – autor na Sapitwa Peak, najwyższym miejscu w Malawi i zarazem swoim ósmym szczycie afrykańskim.

Wieczorem nad górami zbierają się chmury. W promieniach zachodzącego słońca tworzą niesamowite kształty i kolory. Potem zaczynają się błyskawice. Nocą pogoda jeszcze się pogarsza. Podmuchy wiatru targają chatką. Pada deszcz.

WSZEDŁEM, SPOJRZAŁEM, ZWYCIĘŻYŁEM!

Zgodnie z planem wstajemy o piątej rano. Wszystko tonie we mgle i leje deszcz. Nie można iść. O godzinie szóstej sytuacja się nie zmienia. Godzinę później też nie. W takich warunkach granitowe skały są zbyt śliskie. Pozostajemy w Chisepo Hut przez cały dzień. Zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście wchodzić na ten zakazany Sapitwa Peak...

Płynący w pobliżu niemrawy strumyk, który pokonywałem dzień wcześniej suchą stopą, jest teraz szerokim, wartkim potokiem. Wspólnie z Georgem myślimy, co zrobić, gdyby następnego dnia było tak samo. Postanawiamy oszczędzać jedzenie na dodatkowy, nieplanowany dzień pobytu w górach. Wieczorem jednak pogoda nieco się poprawia. Nad doliną rozstąpiły się chmury. To dobra wróżba na kolejny dzień.

Rano nieśmiało wyglądam przed chatkę. Słońce! I nie ma wiatru. Nie przejmuję się przesadami i przestrogi, idę! Początkowo szlak prowadzi po stromej skale. W kilku miejscach pomagam sobie rękoma. Dalszy odcinek to przesuwanie się pomiędzy gigantycznymi głazami, uschniętymi gałęziami i korzeniami. Jest ślisko. Niesiona przez nas lina nie jest jed-



FOT. ROBERT GONDEK



FOT. ROBERT GONDEK

nak konieczna. Pokonujemy z Georgem bez jej pomocy labirynt pomiędzy ogromnymi głazami. Przciskamy się pod nimi, a na koniec wchodzimy do tunelu, który tworzą skały. Podciągając się na rękach, wdrapujemy się wyżej i jesteśmy na szczycie!

Sąsiednie wierzchołki toną w chmurach. Sapatwa Peak jest jak wyspa wystająca ponad nimi. Wygląda jednak na to, że zaraz nadciągną one również i na nas. Schodzimy, aby jak najkrócej wracać we mgłę. Ale zejście jest trudniejsze niż podejście. Ześlizguję się po stromej skale. Na tyłku. Tak jest bezpieczniej. Nogi zaczynają drżeć ze zmęczenia. Ręce są poobcierane od szorstkich skał. Ale wreszcie docieramy do Chisepo Hut. Wszystko we mgłę. Nie ma jednak wiele czasu na odpoczynek. Przed nami jeszcze długa droga do Likhubuli, a nie

chcemy przecież wędrować w deszczu. Pakuję plecak i w drogę. Mijają nas mężczyźni niosący pnie drzew. Biegiem, na bosaka śmigają w dół, jakby niesiony ciężar nie był żadnym problemem. Niosą na głowach dwudziestokilogramowe drągi, a ja ledwo utrzymuję równowagę. Ale do Likhubuli już niedaleko...

To było jedenaście godzin intensywnego odwrotu. Jestem szczęśliwy – Sapatwa Peak jest mój! Mimo niezycziwych bóstw, spuszczających na nasze głowy – to deszcz, to błyskawice, to mgłę. Zdobyłem już ósmy afrykański szczyt! Czas uczcić ten sukces. George organizuje świeżutką i słodką trzcinę cukrową. Gryzę jej patyk, a po wysaniu pysznego soku wypływam trącinę na ziemię. Popijam colą i przywiezioną specjalnie na tę okazję polską wiśniówką. ○



Robert Gondek

Podróżnik, fotograf, miłośnik biegów długodystansowych i maratonów MTB. Pasjonuje się fotografią, organizuje liczne wystawy zdjęć z wypraw. Prowadzi projekt „W drodze na najwyższe szczyty Afryki”, mający na celu zdobycie najwyższych szczytów w każdym afrykańskim kraju. Kolekcjonuje afrykańskie maski. Zna język suahili.



W GÓRACH JEST WSZYSTKO...

O tym, że góry są nieprzewidywalne, przekonałem się już wiele razy. Wielokrotnie słyszałem, jak groźnie ryczą, albo ciszą wiatru kładą doliny do snu. Sam kilka razy doświadczyłem zjawisk niesamowitych i wiem, że w górach trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność.

Zielone łąki alpejskiej doliny Alta Badia skąpane poranną rosą nie zdradzały tego, co rozgrywa się kilkaset metrów wyżej. W blasku księżycy zacząłem wjeżdżać w kierunku Passo Valparola, by sfotografować wschód słońca. Z każdym kilometrem termometr wskazywał coraz niższą temperaturę. Byłem zaspany i nawet nie zauważyłem, kiedy drogę pokrył lód. Koła zaczęły się ślizgać. Jednym łapałem poboczne, drugie z trudnością chwytalo przyczepność na śliskim asfalcie. Nagle las dookoła mnie przybrał szatę z bożonarodzeniowej pocztówki, a przecież kalendarz wskazywał 1 czerwca! Gdy cudem wjechałem na górę, czułem się jak w styczniu. Odwróciłem wzrok w kierunku Austrii i zaniemówiłem. Pierwszy raz jednocześnie widziałem wszystkie cztery pory roku. W dolinach panowała wiosna, jeszcze niżej wczesne lato. Z każdym metrem wysokości świat zmieniał się nie do poznania. Stałem w śniegu po kolana i podziwiałem leniwie budzący się dzień.

Byłem przygotowany na taką ewentualność – czapka i rękawiczki są na wyposażeniu mojego auta, podobnie jak koło zapasowe i apteczka. Mina mężczyzny, który wyszedł przed hotel w kłapkach i krótkich spodenkach i zobaczył swój samochód, była bezcenna. W Alpy warto zakładać zimowe opony za każdym razem, może z wyjątkiem lipca i sierpnia.

Innym razem nocowałem w Wysokich Taurach. Wieczorem nad głową widziałem miliony gwiazd. Wiał przenikliwy wiatr. Była połowa września. Szybko zasnąłem i nie wiem, kiedy poczułem, jak coś na mnie siada. Próbowałem przypomnieć sobie, czy żyją tu niedźwiedzie, a po chwili już nie mogłem wydostać się z namiotu. Zrobiło się nerwowo. Udało mi się wygrzebać i wydostać na zewnątrz. Już w przedślonku wiedziałem, co się stało. Spadło niemal pół metra mokrego śniegu. Środek nocy. Połamany namiot, a do samochodu kilka godzin marszu. Trzeba spokojnie ocenić sytuację i unikać szybkich decyzji. Zbudowany schron pozwolił mi przetrwać do rana.

Zawsze mam nóż i kawałek mocnej linki. Przydaje się też duży foliowy worek, w którym można zabezpieczyć rzeczy przed wodą. Miałem puchowy śpiwór, na który narzekałem, bo było mi za ciepło. W tej sytuacji okazał się jednak ostatnią deską ratunku. Gdy dotarłem do cywilizacji i wszedłem do pierwszego baru tuż po 8 rano, ekspedientka bez słowa podała mi mocne espresso, a później kubek gorącego mleka.

W górach zawsze czekam do końca. Wiele razy w Tatrach przekonałem się, że warto zostac

w plenerze wbrew wszelkiej nadziei. Mój mistrz, od którego uczyłem się fotografii, powiedział mi, że fotograf zawsze czeka do ostatniego promienia słońca i jeszcze chwilę dłużej. Siedziałem w okolicach Grzesia w Tatrach Zachodnich. Wiatr stawał się coraz silniejszy. Zacząłem rozkładać statyw. Zawsze mam go ze sobą, bo nieruchomy aparat pozwala lepiej panować nad kompozycją. Czasy naświetlania rano i wieczorem są często długie, a statyw eliminuje niebezpieczeństwo



poruszenia. Często używam filtrów połówkowych do wyrównania ekspozycji między jaśniejszymi i ciemniejszymi partiami kadru – bez statywu by-



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

łoby to niemożliwe. Statyw traktuję jak sztukę malarską. Aparat może czekać kilka godzin na dobre światło.

Czułem, że zaraz coś się wydarzy. Nagle chmury się rozstąpiły. Rozbłysnęło błękitne niebo. Aż trudno było mi skupić się na fotografowaniu. Zdjęcie nawet po części nie oddaje piękna tej chwili.

Schodziłem do schroniska w świetle czołówki. Przed taką eskapadą trzeba koniecznie sprawdzić stan baterii i zabrać ze sobą zapasowe. Idąc do góry, zawsze szukam punktów charakterystycznych, które zapamiętuję. Pozwalają mi zorientować się, gdzie jestem i jak daleko jeszcze do celu. W miejscach, gdzie szlak ginie albo dziwnie skręca, zostawiam

W górach warto być również za wcześnie. Na Trzy Korony wychodzę zawsze w ciemnościach i za każdym razem na najlepsze warunki trafiam przed wschodem słońca. Rano długo naświetlam zdjęcia przy użyciu wężyka spustowego. Na metalowych platformach widokowych trzeba uważać na drgania wywołane przez wiatr albo własne kroki. Pomaga mi w tym mała plastikowa poziomica zakładana na miejsce lampy błyskowej, bo nie dość, że mogę wyrównać horyzont, to dodatkowo widzę, czy pęcherzyki powietrza drgają i czy mogę wykonać nieporuszone zdjęcie.

Baterie od aparatu trzymam przy ciele. Przy bardzo dużym mrozie i dynamicznych warunkach mam je pod czapką, bo stamtąd najszybciej mogę je wyciągnąć bez ściągania rękawiczek.

spowodować plamy kondensacyjne na matrycy, a nawet uszkodzenie aparatu. Baterie i kartę pamięci wyciągam zawsze przed wejściem do ciepłego pomieszczenia. Do aparatu zaglądam dopiero następnego dnia rano.

Zimą trzeba też pamiętać, że w górach przy dużej wilgotności w dzień i niskich temperaturach w nocy można mieć problem z dostaniem się do samochodu. Cóż po odmrażaczu do zamków, który jest w schowku? Zawsze zabieram go ze sobą, bo już kilka razy okazało się, że bez niego czekałbym do wiosny, żeby dostać się do auta.

Znany cytat głosi, że „w górach jest wszystko, co kocham”. Sporo prawdy niesie to zdanie. Góry wielokrotnie mnie sprawdzały. Nieraz dośtałem w kość. Czasami byłem też zaskoczony, jak lekko przyszło mi zdobycie jakiegoś szczytu. Na nic zdaje się prognoza pogody – góry rządzą się swoimi prawami. Latem każą nosić czapkę i rękawiczki, a zimą pozwalają wędrować wśród śniegów w samym podkoszulku. Z górami nie ma żartów. Często jadąc w Alpy, gdy tylko je zobaczę, zatrzymuję samochód, patrzę na nie z daleka i kłaniam się w pas. To od nich zależy, ile piękna pozwolą mi uchwycić. ○



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

sobie znak – wbity patyk, trzy kamienie ułożone na sobie – cokolwiek, co rozpoznam i będę wiedział, w którą stronę iść.

Zimą po zejściu do schroniska nigdy nie wyciągam aparatu z plecaka. Różnica temperatur sprawiłaby, że cały pokryłby się wilgocią. Może to

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Publikuje zdjęcia w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wracając w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych miejsc. Twierdzi, że jego najlepsze zdjęcia to te, których jeszcze nie zrobił.



W Sun Valley, w drewnianym schronisku u stóp gór, Ernest Hemingway skończył powieść „Komu bije dzwon” i oczarowany urodą okolicy osiedlił się w pobliskim Ketchum. Wkrótce do Doliny Słońca w środkowym Idaho zaczęli przyjeżdżać na narty: Gary Cooper, Marilyn Monroe oraz rodzina Kennedych, przyciągając rzesze innych znanych osobistości.

Pierwsza wzmianka o narciarstwie w USA, z 1850 roku, dotyczy listonosza norweskiego pochodzenia, „Snowshoe” Thompsona, który przez dwadzieścia zim dostarczał pocztę z północnej Kalifornii do Carson Valley w Idaho. Pierwszy amerykański wyciąg linowy zbudowano w 1913 roku w Kalifornii, a wyciąg krześkowy w 1936 roku w Sun Valley, do dziś uważanym za perłę amerykańskich kurortów narciarskich.

Anna Sobotka

NARTY W STANACH



Przy odrobinie szczęścia można tam na wyciągu nawiązać rozmowę z Clintem Eastwoodem, Bruce'em Willisem, Billem Gatesem czy Johnem Kerrym.

przez pracujące nocami ratraki, ale większość pozostaje dostępna w stanie naturalnym, zapraszając narciarzy do swobodnego wytyczenia własnych szlaków.

NO NAME PEAK

Na Górę Bez Nazwy w Snowbasin nie ma wyciągu. Wysiętek podejścia na szczyt wynagradza możliwość zjechania i pozostawienia pierwszych śladów na nieskalanym śniegu, który pada tutaj często.



FOT. ANNA SOBOTKA

PUCHOWY ŚNIEGU TREN

W USA zauważalny jest podział terenów narciarskich – na krainę śnieżnego puchu w zachodniej części kontynentu oraz krainę lodu na wschodzie, z naturalną granicą pomiędzy nimi tworzoną przez Góry Skaliste. Na za-

Te legendarne już warunki narciarskie – kalifornijskie słońce, śnieg i atmosfera Dzikiego Zachodu – przyciągają narciarzy z całej Ameryki, a także z innych kontynentów. Jedni wybierają przetarte szlaki, inni pokonują pierwszy szok jazdy w kopnym śniegu, a następnie wyruszają przed siebie, zamieniając regularne narciarstwo w niekończącą się przygodę. Przybysze z Europy podkreślają zresztą nie tylko urok dziewiczych zjazdów, ale i galanterię na stokach. Zatłoczone europejskie ośrodki stanowią prawdziwą wieżę Babel, co nie sprzyja nawiązywaniu przyjacielskich kontaktów. W stacjach narciarskich Ameryki jest inaczej – łatwiej prowadzi się sympatyczne rozmowy, a lokalni bywalcy natychmiast rozpoznają obcych, chętnie dzieląc się z nimi swoimi tajemnicami, wskazując najlepsze zjazdy.

Kalifornia dotknięta jest obecnie rekordową suszą i zimowe opady śniegu stały się coraz bardziej nieprzewidywalne, toteż narciarze z Wybrzeża Zachodniego powoli przenoszą się na zbocza wulkanu Mount Hood w Oregonie lub stoki w Górach Kaska-

ZADUMA CZY NIEPEWNOŚĆ?

Sam na sam z zimową naturą w Brighton, niedaleko Salt Lake City, gdzie nie brakuje miejsc pięknych i pustych, ale też bardzo stromych stoków.



FOT. ANNA SOBOTKA

chodzie obfite opady sypkiego i suchego śniegu pokrywają góry grubą, puszystą warstwą amortyzującą upadki, zlepiając w jedno trasy i górskie zbocza. Część wprawdzie zostaje ubita



dowych. Ale najczęściej popularnych zimowych wczasowisk skupia się pomiędzy szczytami Gór Skalistych. Na północy, w mroźnej Montanie, można czasami zauważyć narciarza w kowbojskim kapeluszu, zaś po nartach zakosztować świata westernów i przyłączyć się do rodeo na mechanicznym koniu.

Gdy mrozy zaczną dokuczać za bardzo, należy skierować się na południe, gdzie dominują dwa niezapomniane tereny narciarskie: Jackson Hole i Grand Targhee, a nieco dalej Steamboat, który jak potężny fort wyrasta z płaskiej wyżyny północnego Kolorado. Największą popularnością cieszą się jednak kurorty centralnego Kolorado. Aspen, Vail, Cooper

Mountain czy Beaver Creek przyciągają rzesze krajowych i zagranicznych narciarzy magicznymi górami i fascynującymi trasami oraz nie mniej intensywnym życiem pozasportowym. Moda i snobizm trochę spychają tu narciarstwo na drugi plan, ale nie są w stanie pokonać siły przyciągania gór i piękna zasypanych śniegiem kotłów.

ZIMOWE NATCHNIENIA

Dla prawdziwych miłośników natury i otwartych przestrzeni najpiękniejsze jest narciarstwo w Utah. Jest to stan niezwykle rozświetlony czerwonymi skałami parków

FRUWANIE I MIĘKIE LĄDOWANIE

Narciarskie kaskaderstwo w pusztych śniegach zachodniej Ameryki jest i przyjemne, i w miarę bezpieczne.

narodowych i opadami śniegu. Narciarstwo jest tu powszechnie uprawianym sportem, a każda burza śnieżna – oczekiwanym wydarzeniem, wyludniającym sklepy, firmy i urzędy. Większość tras zjazdowych skupia się wokół stromych i skalistych łańcuchów górskich Wasatch, ograniczających od wschodu Dolinę Wielkiego Słonego Jeziora, ze stolicą stanu – Salt Lake City. W niewielkiej odległości od miasta leżą popularne: Alta, Snowbird,

złebach. W każdym amerykańskim ośrodku narciarskim, na wschodzie czy zachodzie kraju, znaleźć można snowparki, gdzie miłośnicy akrobacji wytrwale trenują skoki i obroty na śnieżnych skoczniach lub na *balf pipe*. Nic więc dziwnego, że tutejsi snowboardziści w stylu dowolnym zdobywają olimpijskie medale.

Szczególnym i lubianym miejscem jest Brighton. Tutaj jest zawsze cicho i spokojnie, nawet po obfitym opadzie śniegu, kiedy w Al-



Solitude i Brighton. Ukryte w dwóch groźnych, ale niezwykle malowniczych kanionach Little Cottonwood i Big Cottonwood, przenoszą w czasy, kiedy jeżdżenie po górach było bardzo indywidualnym przeżyciem.

Alta słynie z najobfitszych opadów śniegu i... dyskryminacji snowboardzistów. Taka polityka jest współcześnie bardzo rzadka, ale sprawia, że Alta jest rajem dla narciarzy. Po drugiej stronie skalistego grzbietu górskiego o wysokości ponad 3000 metrów n.p.m. rozciąga się teren Snowbird, gdzie wszyscy mają równe prawa. Oba rejony pod samym szczytem połączone są długim tunelem z ruchomym chodnikiem transportującym narciarzy. Zapewnia on nie tylko atrakcję, bo również ewakuację... w przypadku ekstremalnych warunków pogodowych. Snowbird jest opanowany przez deskarzy, którzy popisują się na jego stromych

cie czy Snowbird tworzą się kolejki do wyciągów. Także w Solitude, jak mówi sama nazwa, nietrudno o spokój, a nawet samotność.

Po drugiej stronie grzbietu Wasatch, na rozległej wyżynie, leży miasteczko Park City, słynne z pięknych stoków oraz elitarnego festiwalu filmowego Sundance, organizowanego corocznie przez Roberta Redforda. Nasyczone kolorami i hotelami stanowi odpowiednik koloradzkiego Aspen. Także trzy położone w pobliżu kurorty: Deer Valley, Park City i The Canyons są bardzo cywilizowane. Narciarskie rankingi od lat umieszczają je w światowej czołówce.

Do ciszy i lokalnego charakteru Utah powraca się w okolicach Ogden, gdzie leżą dwa odosobnione tereny narciarskie: Powder Mountain i Snowbasin. Pierwszy jest lokalną tajemnicą – miejscem o atmosferze najlepiej

ACH, W UTAH

Samotność (po angielsku *solitude*) można odnaleźć w... Solitude. To jeden z najbardziej lubianych ośrodków narciarskich w Utah.



FOT. ANNA SOBOTKA

PIZZA POD ŻYRANDOLEM
Wnętrze jednego z luksusowych schronisk olimpijskich w Snowbasin. Tutaj nawet pizza zamienia się w wytworny posiłek.

oddanej nazwami tutejszych tras – „Natchnienie” czy „Raj”. Drugi jest terenem zimowej olimpiady z 2002 roku – wydarzenia, które nadało Snowbasin zdumiewające oblicze. Miejscowe schroniska przypominają imponujące luksusowe hotele – do odpoczynku zapraszają wczasowiczów na skórzane kanapy, do posiłków pod kryształowe żyrandole, a na codzienną toaletę do marmurowej łazienki. Ta mieszanek luksusu i surowej zimowej scenerii działa odurzająco i na długo pozostaje w pamięci.

NA WSCHODZIE PO LODZIE

Na wschodzie Stanów narciarstwo ma odmienne oblicze. Appalachy to wysokie, zarośnięte lasami kopy o łagodnych zboczach. Toteż narciarskie miejscowości, od Karoliny Północnej po Maine, nie różnią się od siebie zasadniczo.

Za to ciągle zmienia się pogoda. Temperatury wahają się nieustannie, śnieżyce przeplatane są ulewnymi deszczami, a fale odwilży i silnych mrozów tworzą ze śniegu twardą skorupę. Narciarze mają na Wschodzie trudne zadanie. Zwykli pasjonaci tego sportu nieczęsto znajdują zadowolenie, podobnie jak zjazdowi ekstremiści, którzy mogą czuć się zawiedzeni. Oczywiście, zdarzają się dni, że idealne warunki wprawiają amatorów zimy w stan euforii, wynagradzając zmarnowany czas. Ale taka łaskawość tutejszej natury to raczej wyjątek.

Mimo to i na Wschodzie są miejscowości o przyciągającej sławie. W najwyższych partiach pasma Adirondack, w pobliżu Lake Placid, króluje góra Whiteface, powszechnie zwana Górą Lodową. Na jej stokach dwukrotnie rozgrywały się zimowe olimpiady. Jest ona potężna i groźna, pocięta trasami o największym pionowym spadku na całym Wybrzeżu Wschodnim.



FOT. ANNA SOBOTKA

PRZECIĄG, NIE WYCIĄG

Gdy z jednej strony sypie śnieg i wieje wiatr, tunelem w Alcie można przemieścić się na słoneczne stoki po drugiej stronie gór. Narciarze przeciągani są tam ruchomym chodnikiem.

Odstrasza ona temperaturami spadającymi do minus 30 stopni Celsjusza. Mimo to jest popularna i często zatłoczona. Wczasowe atrakcje oferuje Lake Placid, gdzie skocznie narciarskie, tor bobslejowy, lodowisko i wyścigi psich zaprzęgów na zamrożonym jeziorze zapewniają dodatkową zimową rozrywkę.

Bardzo popularne są również tereny narciarskie na stokach White czy Green Mountains – gór, które geograficznie należą do Appalachów, ale widokowo bardziej przypominają Góry Skaliste. Prawdziwie błyszczą i przyciągają w tych okolicach stoki rozległego Killington czy Okimo, a także Stratton, Sugarbush i Stowe.

SZUSUJ, GDZIE CHCESZ

Popularne i czasami zbyt masowe, ale zawsze piękne, narciarstwo wymaga hartu ducha i ciała oraz odporności na zimowe warunki. I bez

action
online

Twoja przestrzeń sportu i rekreacji



nowoczesny
sklep internetowy



specjalistyczny
sklep stacjonarny



profesjonalny
serwis nart i rowerów



ROSHI

względu na fakt, gdzie jest uprawiane, wszędzie wyzwala silne emocje. Zapewnia wypoczynek i pożądaną jednocześnie wysiłek fizyczny. Pozwala na ucieczkę od dusznych miejskich pomieszczeń, umożliwia niemal terapeutyczny kontakt z przyrodą.

W Stanach narciarze nie mogą narzekać. Mogą wybrać się do jednego z wielu wygodnych kurortów, z doskonale wygładzonymi trasami narciarskimi, idealnymi, aby doskonalić styl jazdy. Mogą również wyruszyć po przygodę, czyli skorzystać z unikalnej amerykańskiej oferty otwartych przestrzeni. Szusowanie po nich, gdy się tego chce i trochę zaryzykuje, zamienia się w fascynujące spotkanie z zimowym królestwem natury.

Amerykańskie białe szaleństwo ma wiele twarzy, zachowując przy tym urok utracony już przez gęsto zaludnioną Europę – urok dzikości. ○



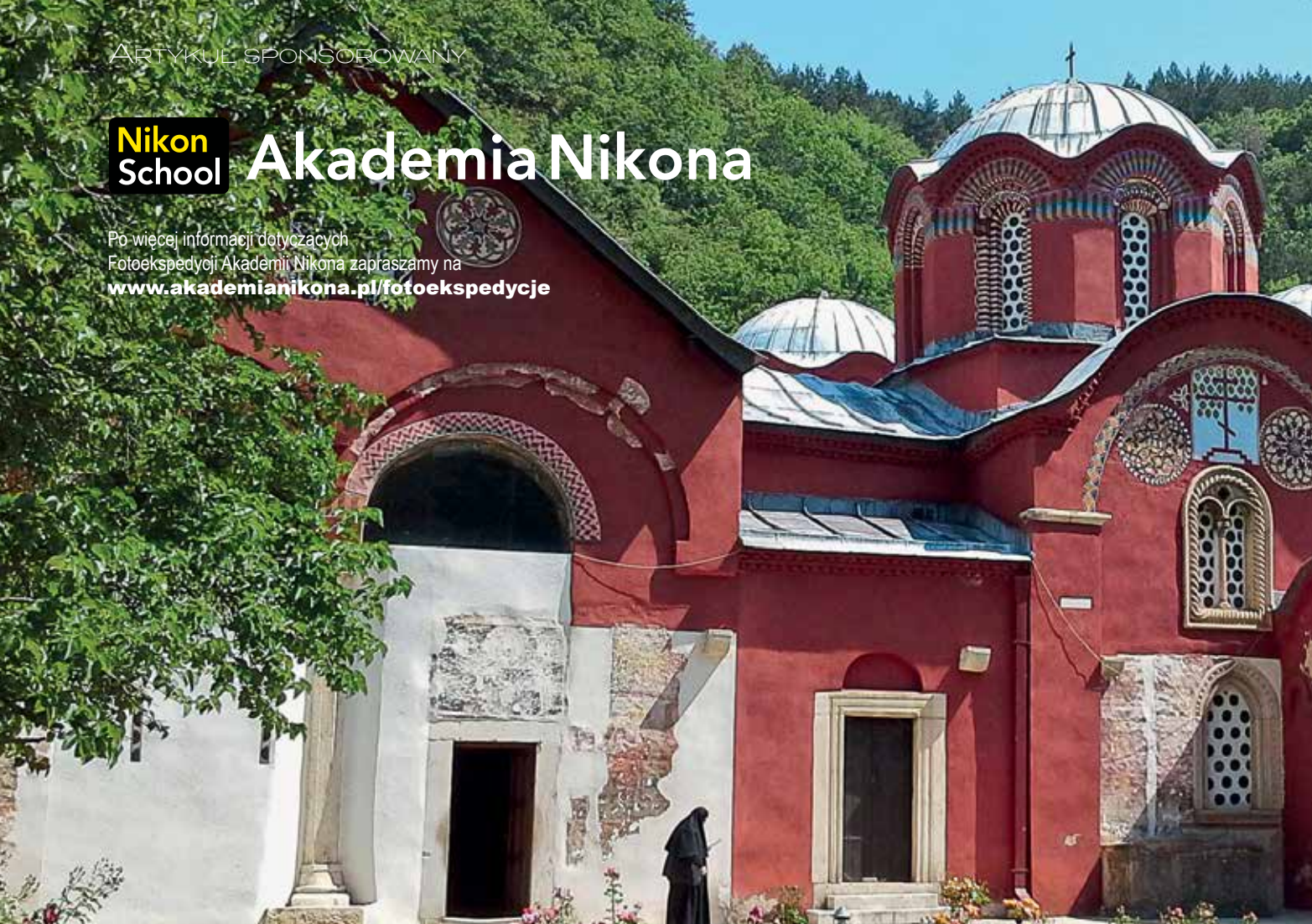
Anna Sobotka

Urodziła się w Gdyni. Jest absolwentką Inżynierii Łądowej Politechniki Warszawskiej. W 1981 roku wyjechała z mężem w podróż dookoła świata. Po dwóch latach włóczęgi zamieszkała w USA. Podróże nadal są jej pasją. Ma nadzieję zarazić nią trójkę dzieci i czytelników miesięcznika Poznaj Świat.

Nikon
School

Akademia Nikon

Po więcej informacji dotyczących
Fotoekspedycji Akademii Nikon zapraszamy na
www.akademianikona.pl/fotoekspedycje



Mówiąc o Bałkanach jako destynacji turystycznej, niewiele osób myśli o Kosowie, które wciąż kojarzone jest z konfliktem zbrojnym. Tymczasem działań wojennych dawno już nie ma, a od 2008 Kosowo jest niepodległym państwem – tygłem kultur, języków i religii, krainą kontrastów, gdzie współczesności towarzyszą duchy minionych epok i wciąż żywe emocje.

Stolicą kraju jest Prisztina, w której życie nabiera tempa, a ludzie gonią za karierą. Tu miesza się języki: albański, serbski, angielski, francuski, włoski. Miasto gości zagraniczną elitę, która znajduje zatrudnienie w ambasadach, konsulatach, przy projektach odrodzenia państwa, wspierania biznesu, walki z bezrobociem. Panuje tu architektoniczny nieład. Centrum to deptak rodem z wielkich europejskich miast, z eleganckimi kawiarniami i butikami, które zupełnie nie pasują do tutejszego ubóstwa. Z czasów Jugosławii zachowały się futurystyczne budynki lat socjalizmu, np. biblioteka uniwersytecka przypominająca wielki stelaż chemicznych molekuł. Są też szklane wieżowce, komunistyczne bloki, wille na przedmieściach, a w centrum meczety i ogromna, górująca nad całym miastem katolicka katedra pod wezwaniem Matki Teresy. Katolików jest niewiele, ale w końcu Matka Teresa urodziła się w albańskiej rodzinie, więc jest „nasza”. Bill Clinton i George Bush też są „nasi”, dlatego główny bulwar w stolicy nazwano imieniem Billa Clintona i wita on przyjezdnych pomnikiem amerykańskiego prezydenta i jego uśmiechniętą twarzą na billboardzie. Ame-

ryka wspiera nowo narodzone Kosowo. „New born” – tak głosi pomnik postawiony w Prisztinie dla upamiętnienia dnia ogłoszenia niepodległości.

Na północ od Prisztiny znajduje się Kosowska Mitrowica – miasto, które do dziś jest symbolem konfliktu między Serbami i Albańczykami. Oddziela ich rzeka Ibar. Na jednym jej brzegu mieszkają Serbowie, którzy nie uznają Kosowa jako państwo, wciąż jeżdżą na serbskich tablicach rejestracyjnych, odmawiają Prisztinie płacenia podatków i wywieszają serbskie i rosyjskie flagi z twarzą Putina. Widzą w nim nadzieję, bo nawet Belgrad odmawia już pomocy. Na drugim brzegu mieszkają Albańczycy, którzy żyją w niezależnym państwie i wywieszają transparenty z hasłem „We love America”, fotografie Clintona, Busha oraz flagi: kosowską, albańską, amerykańską i NATO. W bałkańskim tygłym od wieków ścierają się potężne mocarstwa. W dawnych czasach były to Rzym i Bizancjum, później Turcy osmańscy i Austro-Węgry, a dziś Rosja i Ameryka.

Jednak na południe od Prisztiny konflikt staje się niezaaważalny. W wielokulturowym Prizrenie w oficjalnym użyciu są aż cztery języki: albański, turecki, serbski i angielski. Niektórzy nazywają go miniaturką

W ŚRODKU BAŁKAŃSKIEGO TYGŁA

Barbara Oliwa, Olive Tree Travel



Sarajewa. Tak naprawdę każde miasto na Bałkanach, które gościło kiedyś u siebie Turków, zachowało ich architekturę – formę bazaru (*czarszija*), czyli białych niskich domków z dachami z ciosanego kamienia, gdzie swoje siedziby mieli handlarze i rzemieślnicy. W centrum stoi Šadrvan (fontanna). Legenda głosi, że kto napije się z niej wody, ten zakocha się w mieście i nie będzie chciał stąd wyjechać.

Najstarsze skarby Kosowa to średniowieczne monaster. Cerkwie, które pamiętają pierwszych serbskich królów i patriarchów. Niegdyś było ich więcej, lecz przez wieki były niszczone i palone przez kolejnych najeźdźców. Każdy monaster to serbska enklawa, otoczona zasiekami i żołnierzami KFOR. Aby wejść na teren klasztoru, należy przejść kontrolę

czy kilka krów i owiec. W większości monaster są samowystarczalne, a brakujących produktów dostarczają im zaprzyjaźnione osoby z zewnątrz oraz żołnierze. Visoki Dečani jest pilnowany przez oddziały wioskich żołnierzy, a Pecka Patrijaršija od tego roku jest już pod ochroną lokalnej policji, ponieważ wojsko powoli kończy misję w Kosowie. Odwiedzający monaster są mile widziani i zawsze znajdą osobę, która chętnie opowie o historii i współczesnym życiu za jego murami.

Kosowo jeszcze długo pozostanie egzotyką – dziś zupełnie bezpieczną i dostępną na wyciągnięcie ręki. Bałkany kryją jeszcze wiele tajemnic, a możliwość ich zgłębienia proponuje Akademia Nikona pod okiem eksperta od fotografii odmiennych kultur – Pawła Chary, który podczas foto-



paszportową i otrzymać przepustkę. A w środku? Życie toczy się powolnym tempem. Z czynnych monasterów zachowały się dwa żeńskie – Pecka Patrijaršija i Gračanica oraz jeden męski – Visoki Dečani. Wszystkie wpisane zostały na listę UNESCO. Ich mieszkańcy to jedna wspierająca się rodzina, mająca na utrzymaniu ogród, sad, pasiekę, czasem staw

ekspedycji dzieli się z uczestnikami wiedzą z fotografowania oraz istoty „przekazu” fotografii. Podczas specjalnych wykładów i dyskusji uczestnicy fotoekspedycji są wprowadzeni w świat fotografii podróżniczej, pamiętając o hasle wyprawy, które niezmiennie brzmi: „Kompozycja”. ○



Rytuał *ma'lene*, odprawiany w górzystej krainie Tana Toraja na wyspie Sulawesii, to jedno z najdziwniejszych świąt ku czci zmarłych. Groza otwartych grobów miesza się tu z sielską atmosferą rodzinnego pikniku, a spotkanie żywych z nieżyjącymi przodkami nabiera szokująco bezpośredniego charakteru.

Niezwykłość ceremoniałów, jakimi lud Toraja od wieków oswaja tajemnicę śmierci, jest jedną z przyczyn turystycznej popularności tego regionu Indonezji. Przybywający tu obcokrajowcy obowiązkowo wizytują miejsca pochówków tutejszych mieszkańców, a gwoździem programu każdej wycieczki jest obser-

wacja niesamowitych rytuałów pogrzebowych. Nietrudno wziąć w nich udział, mają bowiem nie tylko świetną reklamę, ale też przewidywalny, sezonowy charakter. Wystarczy wybrać się tutaj w porze zbiorów ryżu, trwającej od lipca do września. Właśnie wtedy rodziny Torajów dojrzewają – duchowo i finansowo – do organizacji wystawnych i kosztownych uroczy-

DZIEŃ OTWARTYCH GROBÓW...

...we wsi Lokomata.
To część rytuałów
pogrzebowych *ma'nene*,
w trakcie których rodziny
odwiedzają wnętrza
grobow przodków.
Cmentarz mieści się
w wielkim głazie, w którym
wykuto nisze.



FOT. MAŁGORZATA JARMUŁOWICZ

stości pogrzebowych.
Zmarli przechowy-
wani do tego czasu
w rodzinnych domach
na prawach „chorych”.
Na pochówek czeka-
ją często długie lata.

ZAPROSZENIE DO ŚWIATA ŻYWYCH

Jest połowa września i miejscowy przewodnik, Benny pozytywnie odpowiada na nasze pytanie o rytuał *ma'nene*: – *Owszem, przedwczoraj cztery wsie na północy regionu rozpoczęły pięciodniową celebrację...* Odbywa się ona zaledwie raz na 3-4 lata, nieregularnie i bez oficjalnej

ZADUSZKI W KRAJNIE TORAJÓW

Małgorzata Jarmułowicz, Zygmunt Leśniak



FOT. MAŁGORZATA JARMUŁOWICZ

zapowiedzi, więc niewiele wiadomo, co danego dnia można zobaczyć, ale jedziemy tam.

Ma'nene, choć stanowi istotne dopełnienie tak ważnego dla Torajów kultu zmarłych, pozostaje tradycją niemal niezbadaną, a przy tym konsekwentnie od wieku zwalczaną przez duchownych chrześcijańskich. Toteż kontro-

STRAŻNICY SPOKOJU

Przed grobami stoją drewniane kukły *tau tau* – sobowtóry zmarłych, strzegące ich spokoju.

wersyjny rytuał praktykowany jest już tylko na północnych, wysokogórskich rubieżach regionu, gdzie wpływy Kościoła są najsłabsze. Na czym polega jego „pogański” charakter, przekonujemy się naocznie następnego ranka, po pokonaniu drogi pełnej serpentyn i dotarciu na wysokość 1700 m n.p.m., w rejon wsi Lokomata. Okolica usłana jest wielkimi jak domy głazami wulkanicznymi. To one peł-

bambusowych drabinach. Nie ma też znajomej symboliki płonących świeczek czy zniczy – w zamian jest pragmatyczna dosłowność innych darów pamięci: papierosów, betelu czy cukierków, składanych na progach odwiedzanych grobów. Zaświaty Torajów, zwane *puya*, są však wiernym odbiciem świata doczesnego, więc potrzeby zmarłych nie różnią się od potrzeb żyjących ludzi.



FOT. ZIGMUNT LEŚNAK



FOT. ZIGMUNT LEŚNAK

PIĘKNI, NIEŚMIERTELNI

Święto zmarłych u Torajów wiąże się z obdarowywaniem bliskich prezentami oraz bardziej lub mniej bezpośrednią pielęgnacją ich szczątków. Czasami wystarczy rodzinna wizja lokalna i troskliwy dotyk, a czasami jest to kompleksowy zabieg kosmetyczny.

nią tu funkcję cmentarzy. Toraje powierzają swoich zmarłych litej skale, wykuwając w niej nisze grobowe ulokowane nierzadko nawet kilka metrów nad ziemią. W trakcie trwania *ma'nene* drewniane odrzwia, broniące dostępu do kamiennych krypt, są otwierane, a zmarli na krótki czas powracają do świata żywych, by przyjąć od swych rodzin wyrazy hołdu, pamięci i miłości, należne świętym przodkom.

Przy każdym z mijanych głazów-grobówców trwa krzątania przypominająca porządkowanie nagrobków przed naszym Dniem Wszystkich Świętych. Tyle tylko że tutaj czynności te wymagają karkołomnej wspinaczki po pionowej skale albo po dostawionych

ODŚWIEŻYĆ PRZODKA

O tym, że to właśnie materialność świata żywych podpowiada Torajom strategię „dogadywania” się z duchami przodków, przekonuje nas najjaskrawiej to, co stanowi zarazem najbardziej szokujący element rytuału *ma'nene*. Otóż troska o dobrostan zmarłych objawia się również poprzez staranne pielęgnowanie ich materialnych szczątków. Ledwo zdążyliśmy się oswoić z widokiem otwartych grobów, a już nabieramy pewności, że nie chodzi tu tylko o ich zwyczajne uporządkowanie. Powód jest bardziej radykalny: zawartość wielu krypt zostaje wydobyta na zewnątrz i przez dwa dni staje się przedmiotem troskliwych zabiegów

„odświeżających” i upiększających, stanowiąc przez ten czas cel pielgrzymek i centrum uwagi tłumnie przybywających rodzin.

W większości przypadków rzecz kończy się na opakowaniu zawiniętych w całuny zwłok w dodatkowe warstwy świeżego materiału albo na włożeniu ich do nowoczesnej drewnianej trumny (co zresztą spotyka się z krytyką starców tradycjonalistów). Część rodzin idzie



o krok dalej i odsłania twarze zmarłych, by przypomnieć sobie ich wygląd oraz sprawdzić, jak znoszą upływ czasu. Kamienne wnętrza grobowców sprzyjają procesowi mumifikacji, co w niektórych przypadkach umożliwia jeszcze dalej posuniętą ingerencję, czyli po prostu... przebranie mumii w nowe ubranie. Cały ten rytuał obwarowany jest licznymi ograniczeniami, nie uczestniczą w nim na przykład kobiety w ciąży (bo kontakt z „tamnym światem” może zaszkodzić nienarodzonemu dziecku), osoby o „nieczystych sercach” i rodziny zmarłych, którzy jeszcze nie doczekali się pogrzebu.

Ma'nene stwarza również okazję do uporządkowania kwestii miejsca pochówku: je-

śli członek rodziny zmarł poza własną wsią, to tylko teraz można przenieść jego ciało z obcej ziemi do rodzinnego grobowca.

Przy całej niesamowitości obserwowanego święta ani przez chwilę nie łapiemy się na uczuciu odrazy czy zgrozy, jaką mogłoby wywoływać tak bezpośrednie obcowanie z dziełem śmierci. Tutaj bowiem groza śmierci podlega dyktaturze życia. Reguły doczesnego świata narzucone zostają nawet tym, którzy już do niego nie należą. Ten przewrotny triumf życia widać tu i czuć na każdym kroku: w radości wspólnego biesiadowania przy otwartych kryptach, w swojskim gwarze i piknikowym nastroju rodzinnych spotkań, a także w nieodświętnych ubraniach uczestników rytuału.

W tłumie pochylonym nad odsłoniętymi szczątkami początkowe przejawy wzruszenia i zadumy ustępują też miejsca potrzebie... sfotografowania mumii telefonem komórkowym lub tabletem. Ta nowoczesna metoda zatrzymywania zmarłych w naszym świecie ma zresztą u Torajów ciekawy i bardzo sędziwy pierwowzór w postaci drewnianych kukieł *tau tau*, ustawianych jako wizerunki zmarłych obok miejsc ich pochówku. Te, których nie zdołali jeszcze skraść zachodni kolekcjonerzy, wciąż pilnują co znamienitszych grobów.

JEST ŻYCIE PO ŻYCIU

Jak potwierdza lokalna legenda, troska o godny wygląd zmarłych ma ścisły związek z wiarą Torajów w realny wpływ przodków na losy ich żywych potomków. Bohater legendy, myśliwy Pong Rumasek, miał doświadczyć wielu dobrodziejstw od duszy zmarłego, którego ciało znalazł w lesie i z litości odział je we własne ubranie...

Naśladowanie tego gestu przez kolejne pokolenia Torajów to jednak nie tylko metoda na utrzymanie dobrych stosunków z zaświatami. To przede wszystkim sposób, by zapanować nad lękiem, jaki budzi jego tajemnicza obcość.

Opuszczamy wsie świętujące *ma'nene* w dniu, w którym okiennice grobowców znów zostaną zamknięte. Wyjeżdżamy z wrażeniem, że w krainie Torajów silniej niż gdziekolwiek indziej trwa wiara w to, że po drugiej stronie też jest życie. I to wcale nie tak różne od naszego, ziemskiego. ○

POWRÓT W ZAŚWIATY

Po spotkaniu z rodziną, czasami na zewnątrz krypty, trumna z nieboszczykiem wraca na swoje miejsce.



Małgorzata Jarmulowicz, Zygmunt Leśniak

Małżeński tandem podróżników z Gdańska. Od 10 lat wspólnie jeżdżą do Azji Południowo-Wschodniej. Zafascynowani zwłaszcza Indonezją, którą odwiedzili już po raz szósty. Małgorzata jest teatrologiem i profesorem Uniwersytetu Gdańskiego, Zygmunt zamienił pracę zawodową na pasję podróżowania i... poleca to innym.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Szczawnica to malowniczy kurort położony wśród pienińskich szczytów. Od 2008 roku zachodzą w nim dynamiczne zmiany dzięki spółce Thermaleo, która intensywnie inwestuje w rewitalizację i odbudowę

uzdrowiska. Zgodnie z zasadą „dla każdego coś dobrego” powstają hotele o różnym standardzie, także pięciogwiazdkowy Modrzewie Park Hotel. Są też przytulne wille, np. Willa Marta, kawiarnie i restauracje, jak Restauracja Café Helenka z różnorodną ofertą kulinarną – od tradycyjnych, regionalnych potraw po wykwintne dania kuchni azjatyckiej i międzynarodowej. Od kilku lat Szczawnica może też pochwalić się niezwykłym Dworkiem Gościnnym, który skupia życie kulturalne i artystyczne regionu.

Wszystko to sprawia, że Uzdrowisko Szczawnica stanowi idealne miejsce wypadowe na ciekawy wypoczynek, zarówno weekendowy, jak i całotygodniowy. Bogata oferta atrakcji turystycznych czyni uzdrowisko wymarzoną miejscem zarówno dla aktywnie spędzających czas, jak i rodzin z dziećmi.

 49°25'N 20°28'E

Szczawnica znajduje się 50 km na południowy zachód od Nowego Sącza



NOWE OBLICZE UZDROWISKA

Dania Egeskov

Renesans na wodzie

Egeskov jest najlepiej zachowanym zamkiem na wodzie europejskiego renesansu. Wzniesiono go w 1554 roku na fundamencie z dębowych pali wbitych w dno jeziora. Całość otoczona została malowniczym 15-hektarowym parkiem krajobrazowym. Znajduje się w nim między innymi ogromny labirynt z żywopłotu, ozdobne renesansowe fontanny, ogród angielski i przykuchenny ogród ziołowy. Atrakcją dla dzieci jest mały gaj z wysoką wieżą widokową. Rezydencja znajduje się w rękach prywatnych, ale jest udostępniona dla zwiedzających. W okazałych wnętrzach podziwiać można m.in. zabytkowe meble i liczne portrety. Warto zajrzeć do muzeów, które gromadzą bardzo ciekawe

zbiory powozów, samochodów, motocykli, kolekcję lalek, zabawek, porcelany oraz pierwszych camperów i przyczep.

 55°10'N 10°29'E

Egeskov leży 165 km na zachód od Kopenhagi





Siedlce

miasto przyjazne

Siedlce. Niespełna 80-tysięczne miasto położone pomiędzy rzekami Muchawką i Helenką, w południowej części malowniczego Podlasia. Stolica wschodniego regionu Mazowsza i do 1999 roku województwa siedleckiego. Historia miasta sięga połowy XV wieku, kiedy to pojawiła się pierwsza wzmianka o Siedlcach, które już 100 lat później, w 1547r., otrzymały prawa miejskie. Od tamtej pory miasto dynamicznie się rozwijało, największy rozwój nastąpił za Aleksandry Ogińskiej z rodu Czarotwórców. Dzięki niej miasto

stało się jednym z ważniejszych ośrodków życia towarzyskiego i kulturalnego w Polsce. Na przedstawienia teatralne była zapraszana elita z całego kraju. Wśród licznych gości był król Stanisław August Poniatowski. Siedlce do dziś stanowią ważne centrum kulturalne oraz edukacyjne w Polsce.

Odwiedzając to miasto, nie można pominąć zabytków – wśród wymienić należy przede wszystkim ratusz zwany „Jakiem”, który stoi w centrum miasta od 1766 roku. Na jego miejscu stały niegdyś

ratusze drewniane, strawione przez liczne pożary. Warto podkreślić, iż w czasie budowy właśnie na siedleckim ratuszu założono drugi piorunochron w Polsce. Pierwszy chronił Zamek Królewski w Warszawie. Ratusz od początków swego istnienia pełnił przede wszystkim funkcje handlowe, dziś jest siedzibą Muzeum Regionalnego. Będąc na jego dziedzińcu, warto wsłuchać się w melodię wygraną przez ratuszowe zegarowe kuranty – jest to polonez „Pożegnanie Ojczyzny” Michała Kleofasa Ogińskiego.

Nie trzeba odchodzić daleko, aby znaleźć kolejny ciekawy zabytek – kościół pw. św. Stanisława BM – patrona Miasta Siedlce, wzniesiony około dwadzieścia lat wcześniej od ratusza. Jest to pierwszy w Siedlcach kościół murowany. Koniecznie należy także zobaczyć Pałac Ogińskich, pochodzący z 1730 roku, w którym gościł wspomniany król Stanisław August Poniatowski, a także magnaci: Braniccy, Potoccy, Tadeusz Kościuszko czy Franciszek Karpiński. Obecnie mieści się tutaj rektorat Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach.

Warto zobaczyć też kaplicę św. Krzyża z 1791 roku – miejsce pochówku Aleksandry Ogińskiej, stuletnią katedrę – matkę siedleckich kościołów czy klasycystyczny budynek poczty.

Odwiedzając Siedlce, warto obejrzeć niebywałe dzieło sztuki, które znajduje się w zbiorach Muzeum Diecezjalnego w Siedlcach. Jest to jedyny w Polsce obraz „Ekstaza św. Franciszka” autorstwa El Greco – artysty pochodzenia greckiego, żyjącego na przełomie XVI i XVII wieku. W tym roku przypada 400. setna rocznica jego śmierci i obchodzony jest Międzynarodowy Rok El Greco – jest to więc doskonała okazja

ku temu, aby bliżej zapoznać się z twórczością artysty.

Siedlce to nie tylko historia i zabytki, to także mnóstwo okazji do aktywnego spędzania wolnego czasu. Miasto stawia na rozrywkę i serwuje, sporą dawkę dobrej muzyki. Działa tu m.in. Centrum Kultury i Sztuki im. A. Meżeryckiego, Scena Teatralna Miasta Siedlce, Miejski Ośrodek Kultury i Miejska Biblioteka Publiczna, które swoją bogatą ofertą przyciągają widzów z całego regionu.

Siedlce to także kolebka sportowców. Tu zaczęli Artur Boruc (piłka nożna), Wiesław Jobczyk (hokej na lodzie), Lidia Chojecka (lekkoatletyka) czy Maciej Starega (biegi narciarskie). Obecnie prężnie funkcjonuje 17 klubów sportowych. Kibiców przyciągają międzynarodowe turnieje i zawody. Amatorów jazdy na rowerze mogą też zainteresować liczne trasy rowerowe – nie bez przyczyny Siedlce zostały w tym roku laureatem trzeciej edycji konkursu „Gmina Przyjazna Rowerzystom”. Kilkaset kilometrów ścieżek rowerowych na terenie całego powiatu siedleckiego to okazja do zobaczenia wielu zabytków.

W samych Siedlcach bardzo dobre zaplecze dla aktywnych stanowi

piłkarski stadion miejski z krytą trybuną na 2900 miejsc i kompleks 3 boisk treningowych, hala sportowa, korty tenisowe czy Park Wodny Siedlce, oddany do użytku w 2013 roku. Zimą, na krytym lodowisku, można spróbować swoich sił w łyżwiarstwie. Miłośnikom bardziej ekstremalnych sportów miasto proponuje latem skateplazę.

Przyciągać mogą przede wszystkim liczne tereny zielone – Siedlce i okolice to tereny zdominowane przez rolnictwo – ich najważniejszą zaletą jest czyste powietrze, zarybione stawy i rzeki oraz połacie lasów pełnych grzybów. Na terenie powiatu siedleckiego powstało wiele rezerwatów przyrody. Wypoczynkowi sprzyjać może pobyt nad siedleckim zalewem z piękną plażą i rozbudowanym zapleczem rekreacyjnym oraz wytyczonymi ścieżkami. Siedlce to nie tylko piękne miasto, pełne licznych atrakcji, tętniące życiem, zapraszające na liczne koncerty i imprezy plenerowe, to też okolice pełne zieleni, ciszy i spokoju, zachęcające do wypoczynku na świeżym powietrzu, oferujące wiele sposobów na spędzanie wolnego czasu. Będąc w Siedlcach, nie można się oprzeć wrażeniu, że jest to miasto przyjazne zarówno mieszkańcom jak i turystom. ○



Publikacja współfinansowana przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Mazowieckiego 2007–2013

FOT. ARCH. UM. SIEDLCE





FOT. ANNA DĄBROWSKA

Droga ku granicy z Argentyną, do której zmierzaliśmy, wiodła przez malowniczy kraj. Warto było go przemierzać własnym pojazdem, gdyż zapewniał nieograniczoną wolność. Dzięki temu otwierały się niesamowite widoki i przestrzenie.

Anna Dąbrowska

Motorem, ANDY





**ZGRZEBNIE,
LECZ KOLOROWO**
Valparaíso nie wygląda
zamożnie, ale wrażenie
biedy w niektórych
dzielnicach rozpraszają
murale oraz barwne
wagoniki ulicznych
„wind”.

Zmierzchało, kiedy wjeżdżaliśmy do położonego nad brzegiem Pacyfiku Valparaíso. Miasto leży na pięćdziesięciu stromych wzgórzach, więc silnik mojego motocykla przegrał w nierównej walce z pionowymi ulicami. Nie zdążyłam zredukować biegu, maszyna szarpnęła i zgasła. Obie runęłyśmy w stos kamieni.

Nic się nie stało, wstałam tylko lekko potłuczona. Ale ciemne, niedoświetlone ulice miasta nie wyglądały zachęcająco. Grozę potęgowały bezpańskie psy, zawsze chude, głodne i gotowe rzucić się do gardła. Noc spędziliśmy w studenckim mieszkaniu Karen i jej siostry

poznanych na couchsurfingu – obie są studentkami lokalnego uniwersytetu, wiodącymi dość beztrudnie życie u podnóża potężnych Andów.

Kolejny dzień odsonił dwa oblicza Valparaíso (miasta, skąd startowała kiedyś Kolej Transandyjska) – nędzę obdrapanych i pustych domów oraz kolorowe fasady budynków pnących się po wzgórzach i z oddali przypominających warstwy kremowego tortu. Wykonane zostały z materiałów tak lichych, że zaistniała potrzeba pokrycia ich blachą falistą, która z kolei dała pole do popisu różnym „kolorystom”. W Valparaíso są więc domy różowe, żółte, zielone, niebieskie... Pablo Neruda, chilijski poeta, laureat Nagrody Nobla, zauroczony klimatem miasta, kupił sobie na jednym z tych wzgórz willę.

Zwiedzając miasto (ciepło ubrani w polary i motocyklowe kurtki), trafiliśmy na kilka uliczek w lepszym stanie, z odnowionymi budynkami, mnóstwem kawiarni, restauracji i sklepików z pamiątkami. Nieustannie wspinięcie się tutejszymi stromymi ulicami grozi



FOT. ANNA DABROWSKA

zadzyszką, dlatego w Valparaíso są specjalne wagoniki – windy. Wiekowe, ale wciąż na służbie, wynoszą ludzi ku wyższym ulicom i tarasom. Jest ich piętnaście i trudno wyobrazić sobie chodzenie po mieście bez nich.

EASY RIDER TRANSANDYJSKI

Asfalt się skończył, słońce chyliło ku zachodowi, a pod kołami pojawiła się nierówna szutrowa nawierzchnia. Gruntowa droga ciągnęła się wśród łagodnych pagórków. Gdzieś w oddali widać było domostwa i zagrody. Między kolczastymi krzewami skrywały się kozy. Krótki podjazd i byliśmy na pagórku, gdzie stanął nasz namiot i zapłonął pierwszy w tej podróży ogień. W Chile nie ma ziemi niczyjej – każdy, nawet najmniejszy skrawek do kogoś należy. Jednak *huaso* (chilijski kowboj) na włochatej kobyle, w asyście stadka psiaków nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy spali na jego terenie. Było cicho i pusto, daleko od świata i zdarzeń, a nad głowami świeciło morze gwiazd.

Na niekończącym się szutrze moja maszyna, rozbrykana jak szczenię, odrywała się od ziemi i raz po raz kładła zmęczonym cielskiem w kamienie. Zakręty na gruntowej drodze pokonywałam w gorączce i skupieniu. Z kolei asfaltowe zawijasy dawały wrażenie, że poruszamy się w kółko. Wychodząc zaś na prostą, motocykl stawiany był do pionu nie tylko przez dodawany gaz, ale też liczne na poboczach krzyże i kapliczki. Najbardziej polubiliśmy odcinki równe jak stół i z szerokimi horyzontami, ku którym jedzie się w złotym popołudniowym słońcu, aby odkryć, że za pokonywaną właśnie równiną wyrastają góry. Kolejne i kolejne...

Wieczory upływały nam pracownie na rozbijaniu obozowisk. Namiot, pompowanie mat, rozkładanie śpiworów, gotowanie późnego obiadu. Ale to był jedyny i nużący constans tej podróży. Dookoła bowiem rozciągała się fascynująca Ameryka Południowa, z Kordylierą, jej zmiennymi klimatami i krajobrazami.

POD GWIAZDAMI Z SZYNSZYLAMI

Rozgrzewka przed pierwszym noclegiem na trasie. Chile to kraj bezpieczny, a spanie w interiorze grozi jedynie wizytą osła lub szynszylki.



ŚWIATEŁKA W TUNELACH

La Serena, „Miasto Kościołów”, zostało daleko za nami i skryło się w pyłe gruntowej drogi. Zatrzymaliśmy się w nim tylko na jedną noc – pierwszą od wielu dni przespaną w hotelowym pokoju. La Serena to ważny punkt na mapie Chile. Rozciągnięta wzdłuż oceanicznego wybrzeża, oferuje wyjątkowe walory turystyczne. Zachowała też tradycyjną drewniano-ceglaną architekturę. Spokojne centrum okolone jest kameralnymi uliczkami z niską zabudową i niezliczoną ilością kościołów wzniesionych z rzecznych kamieni osadowych.

Ale teraz przed nami był jeden z najciekawszych fragmentów trasy – przez Chile kolejowym traktem. Kamiennymi mostami, szutrowymi krętymi drogami, wykutymi w skałach tunelami. Szyny Kolei Transandyjskiej zniknęły dawno temu. Zastąpiły je szerokie asfaltowe chilijskie drogi, pozwalające na sprawny transport. Tory kolejowe rozebrano, a szutrowe drogi, które po nich zostały, wyznaczają ciekawy szlak turystyczny.

Ruch był prawie zerowy. Od czasu do czasu mijał nas samochód, ale na ogół przemie-

rzaliśmy kolejne kilometry na motocyklach tylko we dwoje, raz po raz tracąc siebie z oczu. Najciekawsze były tunele. Wjazd i wyjazd z każdego z nich obmurowany został solidnie ceglami, ale wnętrza wykuto i pozostawiono w stanie surowym. Żadnego gładzenia, polerowania, wykładania płytkami. I dokładnie tyle miejsca, żeby pociąg mógł przejechać.

W skalnych korytarzach panowała ciemność, którą z trudem rozświetlały reflektory naszych motocykli. Światełko po przeciwległej stronie było zaledwie małą jasną kropką, niepewnie majaczącą w oddali. Kiedy nagle w jednym z tuneli zaczęło się przybliżać, okazało się, że jedzie na nas autobus. Pasażerowie mieli niezły ubaw, przyglądając się dwójce motocyklistów, którzy gwałtownie wykręcają, aby wiać tam, skąd przybyli.

Co można jeszcze robić, jadąc przez taką kamienną sztolnię? Można wygrywać melodyjki sygnałem dźwiękowym pojazdu. Echo odbija się wtedy od surowych ścian i wraca do uszu ze zdwojoną siłą.

PO KOLEI

Wiadukt imponującej kiedyś Kolei Transandyjskiej. Dawny szlak kolejowy to niestety nieczynne już mosty i szutrowe drogi. Przez wydrążone w górach tunele jeżdżą dziś tylko, zresztą wahadłowo, pojazdy kołowe.



BEZKRES KORDYLIERY

W interiorze nie ma wielkich miast. Na spalonej słońcem ziemi przycupnęły miasteczka i wioski, w których nic się nie dzieje. Zaszczeka pies, ktoś zamacha ręką, ktoś wyjrzy przez okno. Cisza, spokój i bezkresna przestrzeń. Wioska to kilka domostw, droga przez środek, samotna wieża kościoła, nieduża winnica i koniec. I znowu bezludny krajobraz. Znowu rysujące się na horyzoncie góry. Kordyliera to łagodnie wypiętrzone płowe wzgórza, porośnięte kępkami krzewów, i coraz wyższe przełęcze. To dopiero preludeum prawdziwych szczytów.

Zaczęliśmy wspinać się coraz wyżej. Po przegładzie motocykli w Ovalle, pruliśmy ku granicy z Argentyną. Po drodze był jeszcze namiotowy nocleg w wyschniętym rzeczonym korycie, i kolejny w winnicy.

Ostatni punkt przed granicą to miasteczko Vicuña, typowe dla Chile – centralny plac (przeważnie Plaza de San Martín albo Plaza de Armas) z dwiema uliczkami, odchodzącymi z każdego rogu pod kątem prostym. Niskie domki i senni mieszkańcy. W Vicuña przenocowaliśmy i następnego dnia ruszyliśmy do



MEMENTO

Z podróży na Paso del Agua Negra (Przełęcz Czarnej Wody) nie każdy wraca cało. Na zdjęciu przydrożna kapliczka, na której ogrodzeniu powieszono powypadkowe kołpaki samochodowe.



I CO JA ROBIĘ TU?
Poranek pod lodowcem
Agua Negra, pięć tysięcy
metrów n.p.m.
Ani temperatura, ani
wysokość nie dawały
szansy na głęboki sen.

Argentyny przez Paso del Agua Negra (Przełęcz Czarnej Wody). Jej punkt kulminacyjny to prawie pięć tysięcy metrów n.p.m.

Końcowe osiemdziesiąt kilometrów asfaltu do chilijskiego przejścia granicznego pokonywaliśmy pośród skał, a popołudniowa jazda prawie pustą trasą dostarczyła ogromnych przyjemności.



JEŹDZIEC STAD

Miejscowi kowboje na włochatych konikach nazywają się *hauso* i zawsze gotowi są do pogawędki, którą da się prowadzić z nimi w języku „ogólnie międzynarodowym”.

WIATR I DUCHY GÓR

Ostatnią chilijską noc spędziliśmy w namiocie przy posterunku pograniczników. Stemple wyjazdowe wbito nam w paszporty chwilę po południu. Potem ruszyliśmy szutrówką wśród księżycowego krajobrazu, przekonani, że tam, wysoko na przełęczy, jest budynek argentyńskiej służby granicznej, gdzie znajdzie się skrawek miejsca na namiot dwójki Polaków...

Chile pożegnało nas czerwonoróżowymi skałami i zimnymi promieniami zmęczonego dnia słońca. Drapaliśmy się w górę, kiedy nad Andy nadciągał już zmrok. Na chwilę przed zapadnięciem ciemności osiągnęliśmy przełęcz. A tam ani żywego ducha! Zardzewiały znak drogowy i wzmagający się zimny wiatr. Za nami i przed nami pas ziemi niczyjej. No i droga w dół, w noc, ku przepaściom.

Zaczęliśmy zjeżdżać, ale po kilkuset metrach wiadomo było, że dalsza jazda to pewna śmierć. Zatrzymaliśmy się więc w zakolu drogi. Wiatr szalał, a my walczyliśmy, żeby nie zabrał namiotu, który jakoś udało się w końcu rozbić w czasie „okna pogodowego”. Wpakowaliśmy się w śpiwory, ubrani we wszystkie ciepłe ciuchy. Leżeliśmy skuleni, po nosy w śpiworach. I wtedy usłyszeliśmy czyjeś kroki oraz dźwięk



FOT. ANNA DĄBROWSKA

CZYLI CHILE

Postój w typowej dla środkowego Chile, spalonej słońcem i uśpionej miłościnie, w której nic się nie dzieje.



Anna Dąbrowska

Dziennikarka, tłumaczka i włóczykij. Odwiedziła prawie 50 państw na 4 kontynentach. „Kocia mama”, motocyklistka, autorka książki dla dzieci „Podobno koty żyją dziewięć razy”. Lubi spotkania ze zwierzętami w dalekich krajach, noc w niezwykłych miejscach oraz baśnie, zwłaszcza te wschodnie. Serce zostawiła na Poloninie Caryńskiej w Bieszczadach. Biega.

rozsuwanego zamka od namiotu... Duchy Andów czy projekcja zmęczonych wysokością umysłów? Do dziś nie umiem odpowiedzieć. Kto mógł się wałęsać na tej wysokości w środku ciemnej andyjskiej nocy na ziemi niczyjej? Nikt. Albo taki sam szaleniec jak my.

Rankiem termometr wskazywał dziesięć stopni poniżej zera, a promienie słońca oświetlały wszystko dookoła, tylko nie nasz namiot. Wiatr nie ustawał w swoim szaleństwie. Musieliśmy czekać. Wtedy poczułam niepokojący zapach, który oznaczał, że możemy mieć kłopoty. Zapach benzyny. Wyjrzelśmy. Obie yamahy leżały na ziemi, a pod każdą z nich widoczna była ciemnoszara plama. Wysko-

czyliśmy, aby podnieść nasze maszyny, po czym szybko wróciliśmy do kryjówki.

Zbieraliśmy się długo, tym bardziej że motocykle nie chciały odpalić – udało się z rozbiegu. Dopiero po ruszeniu w dół ujrzeliśmy rozmiar przełęczy i ogrom drogi do pokonania. Jechaliśmy, a wiatr był nadal silny i niespokojny. Każde z nas zdążyło się o tym przekonać, lądując na ziemi z podciętym wicherą motocyklem. W końcu z szutrowej górskiej drogi wjechaliśmy na płaską asfaltową. Ale wiatr nie przestawał. Prowadziłam z dużym wysiłkiem. Po stu kilometrach na horyzoncie zamajaczył wreszcie graniczny posterunek. Byliśmy na miejscu – przywiani z Chile do Argentyny. ◯



FOT. ANNA DĄBROWSKA

PROSTO DO ARGENTYNY

Droga tuż przy granicy – połatany asfalt, rozszalały wiatr i niesamowicie piękny krajobraz.





szlakiem ORLICH gniazd

Karol Wielgus
Grzegorz Mokrecki

TAJEMNICZE RUINY ZAMKÓW,
ZWANYCH ORLIMI GNIAZDAMI,
MROczne JASKINIE
I DZIWAczne OSTAńCE
TO GŁÓwNE WALORY TEGO
NAJCIEKAWSZEGO PARKU
KRAJOBRAZOWEGO
POŁUDNIOWEJ POLSKI.

Artykuł zwyciężył ex aequo w konkursie miesięcznika *Poznaj Świat* dla uczniów gimnazjów i liceów pod hasłem „Najpiękniejszy park krajobrazowy w Polsce”. Autorzy są uczniami Zespołu Szkół Gastronomicznych Nr 1 w Krakowie.

Określenie „orle gniazda” pochodzi od systemu średniowiecznych zamków, strzegących niegdyś granicy Królestwa Polskiego, a w większości posadowionych na trudno dostępnych wapiennych skałach. Zamki pobudowano na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej na polecenie króla Kazimierza Wielkiego. Miały chronić Kraków przed najazdami wojsk czeskich Jana Luksemburskiego.

Groty, białe skały i orle gniazda – to wszystko znajduje się 30 kilometrów na północny zachód od Krakowa. Trasa, jaką proponujemy, nadaje się na weekendową wyprawę, ale może też posłużyć jako wstępny projekt tygodniowego urlopu. Jej długość to 17,5 km.

UKRYTE GNIAZDO KRÓLOWEJ

Opuszczamy wielkomejski zgiełk. Pogoda jak na razie dopisuje. Tylko niewielkie cirrusy przysłaniają na chwilę słońce. W busie sprawdzamy jeszcze nasze umiejętności orientowania w terenie. Jest dobrze. Kierunek właściwy. Za parę minut będziemy na miejscu.

Lądujemy w Wolbromiu, gdzie nastąpi przesiadka do Zawiercia. Mając pół godziny, oglądamy odnowiony XVII-wieczny dREW-

PRZYCZAJONY ŚLIMAK, PEŁZAJĄCY SMOK?

Uroki południowej Jury
– skałki, jaskinie,
groty i ostańce,
a wszystko w kształtach
pobudzających
wyobraźnię.
Na zdjęciu
– pełzający smok?

niany kościółek szpitalny. Ruszamy kolejnym busem w dalszą, choć niedaleką już podróż. W Strzegowej mijamy tablicę informującą o wjeździe do województwa śląskiego. Chwilę później dostrzegamy wyłaniającą się zza zakrętu kamienną wieżę średniowiecznego zamczyska. To znak, że jesteśmy na miejscu. Przechodzimy kilkadziesiąt metrów poboczem ruchliwej drogi, następnie koło niewielkiego dworku, by przez parking z wiatą oraz kręgiem ogniskowym wkroczyć na teren rezerwatu leśnego Smoleń.

Na szczycie niewielkiego stromego wzgórza porośniętego gładowym lasem znajdując się ruiny średniowiecznego zamczyska Toporów z Pilczy, nazywanego też Gniazdem Królowej. Robotnicy zabezpieczający jego mury zakończyli już swoje prace i zajęci byli

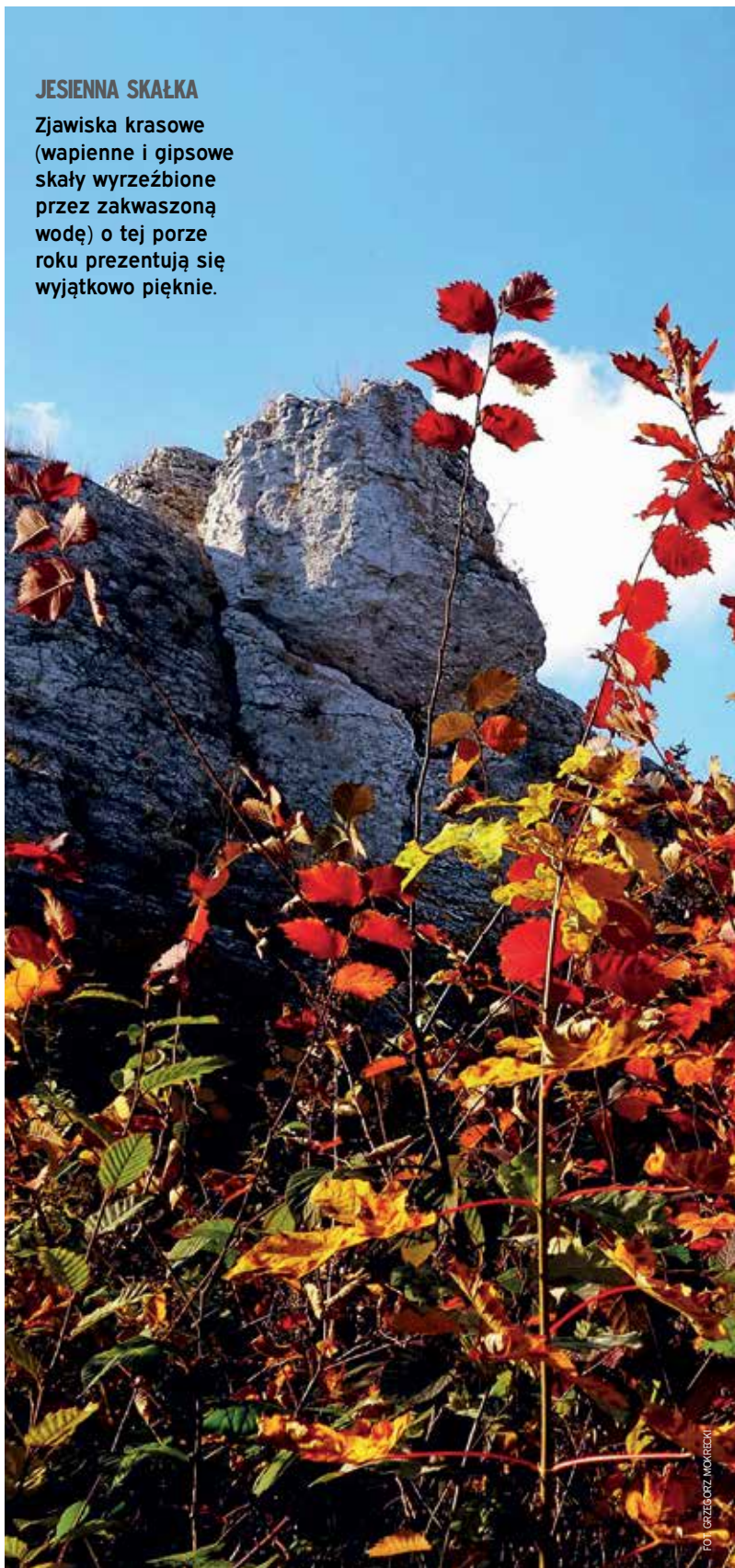
porządkowaniem terenu, ale zezwolili nam na wejście. Zamek został wybudowany około połowy XIV wieku przez Ottona z Pilczy herbu Topór, prawdopodobnie na miejscu wcześniejszego założenia drewnianego. Przez całe swoje dzieje pozostawał w rękach prywatnych, a jego schyłek wiązać należy z okresem popopu szwedzkiego. Jest prawdziwą perłą Jury, stanowiąc świetny przykład średniowiecznego budownictwa obronno-rezydencjonalnego typu małopolskiego, z dominującą wieżą ostatecznej obrony – stołpem bergfriedem.

Usytuowanie warowni sprawia, że nie dociera tutaj zbyt wielu turystów – przejeżdżając przez wieś łatwo przeoczyć wąską, prowadzącą na górę, zarośniętą ścieżkę. Brakuje też tablic informacyjnych i choćby niewielkiego parkingu.



JESIENNA SKAŁKA

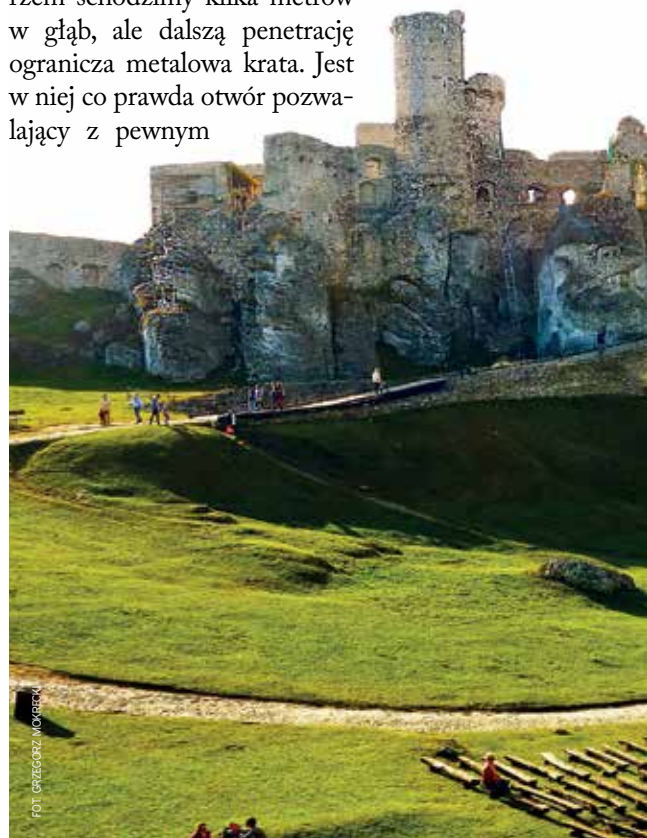
Zjawiska krasowe (wapienne i gipsowe skały wyrzeźbione przez zakwaszoną wodę) o tej porze roku prezentują się wyjątkowo pięknie.



WODĄCA BEZ WODY I ZEGAROWE SKAŁY

Z zamku maszerujemy czarnym szlakiem na skraj lasu. Dużo tu potężnych mrowisk. Wchodzimy na niebieski Szlak Warowni Jurajskich, który wkrótce sprowadza nas na dno Doliny Wodącej. W dolinie, w środku Jury Krakowsko-Częstochowskiej, znajdziemy zamek, grodziska, skały oraz jaskinie. Tylko... wody nie ma. Położona niedaleko Pilicy jest rzadkim przykładem suchej doliny krasowej, a nazwa „Wodąca” jest używana przez miejscową ludność na określenie takiego zjawiska przyrodniczego. Dominuje tu sielski krajobraz z różnobarwnymi uprawami oraz porozrzucanymi grupami wysokich skał.

Po opuszczeniu lasu ukazuje się potężna kulminacja Zegarowych Skał. Zdobywamy je po stromym, błotnistym i wyczerpującym podejściu, prowadzeni znakami zielonego Szlaku Jaskiniowców. U podnóża pierwszych skał, zaraz przy ścieżce, zauważamy rozpadlinę, z której dochodzi zimny powiew. To jeden z dwóch otworów jaskini Zegar. Korytarzem schodzimy kilka metrów w głąb, ale dalszą penetrację ogranicza metalowa krata. Jest w niej co prawda otwór pozwalający z pewnym



trudem precyzyjnie się, jednak ze względów bezpieczeństwa zadowolamy się widokiem nienagannym w mroku korytarza pokrytego białym wapiennym mlekiem. Opuszczając to tajemnicze miejsce, w załamie stropu dostrzegamy jednego z mieszkańców jurajskich jaskiń – jadłowatego sieciarza jaskiniowego, pajaka *Meta menardi*.

NIE TYLKO DLA ORŁÓW

Wdrapując się wyżej, w połowie podejścia ścieżka wyprowadza nas na niewielkie wypłaszczenie ograniczone cyrklem skalnym z potężnych wapiennych ostańców oraz zarysem starych wałów ziemnych. To wczesnośredniowieczny relikwiarz zespołu obronnego Zegarowych Skał, w obrębie którego zlokalizowana jest ciekawa, wydrążona w skałach, cysterna na wodę. Obchodząc masyw stromą ścieżką, podchodzimy do kulminacji wzgórza, gdzie we wnętrzu szczytowej skałki zlokalizowana jest duża Jaskinia Jasna. Ta nazwa doskonale oddaje charakter jej wnętrza, do którego prowadzą dwa obszerne otwory i okno skalne, dzięki czemu nie ma tu strefy pełnego mroku. Wnętrze groty to jedna duża komora, albo raczej sala, wsparta naturalnym filarem.

Mniejszym z otworów wychodzimy na drugą stronę masywu, by wykutymi stopniami, posiadając się łańcuchem i klamrami, wspiąć się na szczyt. Roz-

pościera się stamtąd wspaniały widok na Dolinę Wodącą z Grodziskami i skałą Biśnik, do której za chwil kilka powędrujemy. W głębi zielenią kopulaste wzniesienia rezerwatu Ruskie Góry. Dostrzegamy również cel naszej wycieczki – Górę Janowskiego, z ruinami zamku Ogrodzieniec. Patrząc w przeciwną stronę, dostrzegamy górujący nad okolicą stołp zamku Smoleń, odległą Dolinę Pilicy i wspaniałą mozaikę pól, nad którą dominują skały Krzywość.

Przez kilka minut mamy możliwość obserwacji pary kruków krążących w pobliżu. Kruki wcześniej przysposabiają potomstwo do samodzielności, więc latem młode już latają. I faktycznie, na szczycie Zegarowych można te ptaki podziwiać w pełnej krasie.

POLSKI PRACZŁOWIEK I RUSKIE GÓRY

Nie znając dobrze terenu, decydujemy się na powrót zielonym szlakiem na dno doliny. Tam, ponownie niebieskim Szlakiem Warowni Jurajskich, docieramy pylistą polną drogą do samotnej skały Biśnik. To pozostałość dawnego rygla zamykającego dolinę w minionych epokach geologicznych. Zbliżając się, słyszymy warkot. Obchodząc skałę, zauważamy tablice informacyjne i uwijającą się w ich pobliżu grupkę młodych ludzi, a w załamie źródło hałasu – agregat prądotwórczy. Po chwili mamy możliwość zobaczyć, jak wyglądają prace archeologów na jednym z najciekawszych



WAROWNY STANIE HUFIEC NASZ...

Spektakularne ruiny zamku w Ogrodziencu, największej atrakcji Szlaku Warowni Jurajskich. Budowla stoi na Górze Janowskiego, której nazwa pochodzi od nazwiska ojca polskiego krajoznawstwa, założyciela Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego – Aleksandra Janowskiego.

stanowisk Jury Krakowsko-Częstochowskiej, zlokalizowanym w jaskini Biśnik.

Skąła i jaskinia Biśnik, leżące na krawędzi Doliny Wodącej, są archeologicznym stanowiskiem wielokulturowym. Najstarsze znaleziska z tego miejsca, które datuje się na ok. 300 tysięcy lat, uważane są za najdawniejsze ślady bytności człowieka na ziemiach polskich. Intensywne osadnictwo na tym terenie istniało z przerwami do czasów średniowiecza.

Ze względu na daleką drogę przed nami dość szybko musimy pożegnać studentów

Wychodzimy na szczyt Straszycowych Skał, czyli rozległego wzniesienia, coraz bardziej zarastającego krzewami tarniny, dzięki róży i jałowców, nad którymi wznoszą się grupy olbrzymów o fantazyjnych kształtach. Ścieżka wije się, omija okop z okresu II wojny światowej, by wyprowadzić nas na niewielką łąkę ze śladami ogniska. U naszych stóp, w dnie rozległej kotliny, leży duża wieś Ryczów, a okoliczne wzgórza, jak okiem sięgnąć, zwieńczone są skałami – to Ryczowski Region Skałkowy. Podziwiamy bogactwo

ZBROJE I STROJE

Dużym zainteresowaniem zwiedzających Ogródzieniec cieszy się Sala Uzbrojeń. Przedstawia ona ewolucję uzbrojenia zaczepnego i ochronnego od XIII do XX wieku. Między majem a sierpniem na zamku organizowane są m.in. Pokazy Rycerskie, Wieczór z Duchami oraz Ogniem i Mieczem.



i czerwonym szlakiem Orlich Gniazd zagłębiamy się w mieszany las. Minąwszy krzyżówkę, po krótkim podejściu wychodzimy na rozległą polanę. Za nią wybieramy czarny szlak, który wśród lasów mieszanych i niewielkich zrębów, przez wzgórza i skraj osady Pustkowie, prowadzi do asfaltowej drogi łączącej Pilicę z Kluczami. Pojawia się coraz więcej buków, a po lewej, między srebrnymi kolumnami drzew, bieleją skalne ostańce. To Ruskie Góry. Nasza wędrówka będzie wiodła skrajem tego rezerwatu, po znakach starej trasy maratonu rowerowego.

naskalnych muraw, z motylami polatującymi nad kwiatami.

W kierunku północnym widać szczytowe partie Góry Janowskiego i polną drogę, którą schodzimy do drogi we wsi. Przed wejściem na asfalt przez chwilę ponownie wędrujemy czarnym szlakiem, z którym rozstajemy się przy samotnej skałce na skraju lasu. Skałka jak skałka, takich na Jurze wiele, ale coś zakłóca jej naturalność. Podchodzimy bliżej i wszystko staje się jasne – dostrzegamy niewielki fragment kamiennego muru, czyli ruin średniowiecznej strażnicy w Ryczowie.

OGRODZIENIEC, SKALNA POTĘGA

Po minięciu kilkunastu domostw Ryczowa Kolonii niebieski szlak doprowadza na dno płytkiej kotlinki z szeroką poprzeczną przesieką. Tu po raz ostatni zmieniamy szlak i czerwonym zbaczamy w lewo na ostatnią prostą, ku ruinom średniowiecznego zamku. Największego z Orlich Gniazd! Ostatnia prosta to określenie trochę na wyrost, gdyż do celu mamy jeszcze dwa i pół kilometra. Początkowo wędrujemy

ny. Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów przez modrzewiowy las z porozrzucanymi blokami kamiennymi, i na jego skraju ukazują się już mury Ogródzieńca.

Z terenu leśnego wychodzimy przy dwóch charakterystycznych skałach – Niedźwiedziu i Korkociągu, włączonych w obwód murów chroniących podzamcze. Następnie wąską ścieżką, przy samym murze, podążamy w dół. Mijamy zamkniętą bramę, niecierpliwie zerkamy w otwory strzelnicze w kształcie dziurki od klucza, by zobaczyć zamek, i ruszamy

ścieżką, tym razem stromo w górę. Ze skały, zwanej Wielbłądem, ponownie dostrzegamy to potężne zamczysko, które stapia się w jedno z naturalnymi skałami. Idziemy dalej. Po prawej mijamy park liny, budowę toru zjazdowego, i docieramy do kasy zlokalizowanej na miejscu dawnej bramy prowadzącej na podzamcze.

Wraz z wycieczką udaje się wejść do środka. Zwiedzamy salę tortur, dziedziniec wewnętrzny, zamek wysoki, studnię, kuchnię, bibliotekę, a nawet sypialnię z ustępem. W skrzydle południowym oglądamy imponującą Basztę Kredencerską (miejsce przechowywania, pod opieką „kredencera”, drogocennej złotej i srebr-

nej zastawy) oraz beluard – mur kurtynowy ze stanowiskiem obronnym, drugim pod względem wielkości w Europie. Krętymi schodami schodzimy do Sali Uzbrojeń. Będąc tu, trudno nie zwrócić uwagi na okazały dziedziniec turniejowy, na którym i dziś odbywają się walki rycerskie...

Kiedy po całej wycieczce, zmęczeni, lecz zadowoleni, wracamy do Krakowa, myślimy, jak w pełni oddać bogactwo dzisiejszych przeżyć. Jak to wszystko opisać? Najlepiej, po prostu, żeby turysta sam to zobaczył, i tyle. No, ale ktoś musi go do tego zachęcić. I to będziemy my! ○

POZNAJ ŚWIAT PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA

Napotkany przy trasie wędrowki otwór przypominający dziurkę od klucza. Na pewno okazał się przydatny w zaspokajaniu „dzikiej ciekawości świata” Autorów – laureatów naszego konkursu.



FOT. GRZEGORZ WOKRECKI

przez typowy dla obniżen pólnocnej Jury suchy bór sosnowy, a minawszy linię wysokiego napięcia, rozpoczynamy kilkietapowe podejście na szczyt najwyższego wzniesienia Jury, Góry Janowskiego (515 m n.p.m.).

Stopniowo bór ustępuje miejsca jałowcom, zaroślom kserotermicznym i aromatycznym murawom. Dawniej u szczytu szlak prowadził wąską szczeliną skalną – obecnie wznosi się tam luksusowy hotel. U podnóża olbrzymich płyt skalnych zwanych Cimy (ze względu na podobieństwo do Dolomitów) podziwiamy wspinaczy pokonujących pionowe ścia-

TESTOWANE NA SYBERII

Aby stworzyć doskonałe ubrania outdoorowe, niezbędna jest ścisła współpraca z ludźmi, którzy są w stanie przetestować nowe rozwiązania w najgorszych warunkach. Dzięki temu później możemy być pewni, że nowa kolekcja sprawdzi się w każdych warunkach i w każdym terenie.

Zapraszamy na rozmowę z **Michałem Rejem**, testerem marki Regatta. Michał to postać niezwykła – licencjonowany kierowca rajdowy, który postanowił poświęcić się organizowaniu wypraw samochodowych trasami biegnącymi z daleka od uczęszczanych dróg. Wśród wielu miejsc, które odwiedził, szczególnie upodobał sobie bezdroża Syberii.

Jak zaczęła się Twoja przygoda z bezdrożami Syberii?

To było w 2003 roku. Byłem wtedy uczestnikiem rajdu Transsyberia. 11 lat temu hasło wyjazdu na Syberię zabrzmiało niesamowicie, więc decyzja była szybka. Kupno auta, potem 4-miesięczne przygotowanie samochodu do (jak nam mówił organizator) ekstremalnej podróży. Rzeczywistość okazała się jednak taka, że cały „rajd” odbywał się głównie drogą biegnącą przez całą Rosję. Jedyne kawałki naprawdę trudnej trasy to był fragment słynnej drogi kołymskiej, zwanej „drogą po kościach”. Rajd jaki był, taki był, ale dzięki niemu zrodziła się u mnie chęć poznania tamtych regionów oddalonych od głównej drogi. Chęć poznania ludzi, ich zwyczajów i niesamowitej, pozbawionej cywilizacji przyrody.

Pokonałeś legendarną trasę BAM (Magistrali Bajkalsko-Amurskiej)?

O BAM-ie dowiedziałem się w 2007 roku od przemilego Rosjanina spotkanego w Kirgizji w czasie mojej wyprawy po Azji Centralnej. Opowiadał, że są tam fragmenty drogi wzdłuż linii kolejowej otoczonej pięknymi górami Sajanami, ale niestety nie da rady przejechać tej trasy samochodem, bo brak tam mostów na rzekach i są olbrzymie, długie na kilkadziesiąt metrów, bardzo głębokie kałuże. Jego opowieść zainspirowała mnie do zagłębienia się w temat. 2008 rok spędziłem na przeszukiwaniu rosyjskojęzycznego internetu. Wiedziałem, że były próby przejechania całego odcinka do Tyndy na kołach, ale zawsze w którymś momencie kończyło się załadunkiem samochodu na pociąg. W 2009 roku byłem gotowy stawić czoła legendzie i ruszyłem razem z znajomymi w 2 samochody. Już na początku trasy wzdłuż BAM mówiono nam, że nie ma możliwości przejechania dalej niż do następnej miejscowości... I tak w każdej napotkanej. Pokonanie 1200 km zajęło nam prawie 2 tygodnie, całą drogę i wszystkie ważniejsze przeszkody dokumentowaliśmy materiałem filmowym. Pokonanie w bród ostatniej dużej rzeki przed Tyndą dało nam niesamowitą satysfakcję... byliśmy pierwsi na świecie, którym się to udało. Dzięki filmom na YouTube trasa ta stała się syberyjską mek-



ką podróżników off-roadowych. W ciągu następnych czterech lat przemierzyło ją kilkadziesiąt samochodów, w tym kilka załóg z Polski.

BAM zainspirował mnie do podjęcia kolejnego wyzwania. W 2012 roku wróciłem nad Bajkał, aby jednym samochodem, bez żadnego wsparcia z zewnątrz objechać to olbrzymie jezioro. 80% trasy prowadziło po mniej lub bardziej zniszczonych drogach, natomiast 20% to była droga, a właściwie zimnik (droga użytkowana tylko zimą, gdy bagna i rzeki zamarzają) nazywany „Drogą przez 110”. Była to do tej pory najtrudniejsza dla mnie trasa, z jaką się zmierzyłem. Przez 200 kilometrów nie ma tam żadnej cywilizacji. Droga od lat 1960. jest systematycznie niszczonej przez przyrodę. Ciężko opisywać jej trudy, lepiej w YouTube wpisać „Ekstremalna Syberia – Ekspedycja wokół Bajkału”, aby zobaczyć, co nas spotkało na zaledwie 200 kilometrach.

Twoje wyprawy mają również cel humanitarny?

Głównym celem moich wypraw jest cel podróżniczy, jeśli jednak nadarza się okazja niesienia pomocy, zawsze działam również



w tym kierunku. Jadąc nad Bajkał, nigdy nie zapominam o Polakach zamieszkujących w syberyjskiej wsi Wierszyna, położonej 250 kilometrów przed Irkuckiem. W 2003 roku były to leki, w 2009 polskie książki i filmy oraz stypendium na studia w Polsce dla jednego Polaka z Wierszyny.

Takie wyprawy wiążą się ze sporym ryzykiem.

Miałeś kilka niezłych przygód.

W czasie swoich wypraw miałem parę momentów, które będę pamiętał do końca życia. W 2003 roku pijany jakucki milicjant chciał mi zabrać paszport, aby wymusić łapówkę, a kiedy odmówiłem, przystawił mi AK-47 do twarzy i przeladował broń. Na szczęście zobaczyli to jego trzeźwiejsi koledzy i go odciągnęli.

Najgroźniej było jednak w Australii. W czasie dojazdu na Cape York zapomnianym szlakiem Dixie Road utopiliśmy samochód w rzece Mitchel. Ponad cztery godziny próbowaliśmy bezskutecznie sami wydobyć go z wody.

Na szczęście na niebie pojawił się helikopter, który zauważył naszą nieciekawą sytuację i zorganizował pomoc w postaci pracujących parę kilometrów dalej robotników z ciężkim sprzętem. Kiedy dotarli, zdziwiło nas ich zachowanie... bali się wysiąść z wielkiej ładowarki. Dzień wcześniej w tym miejscu spotkali ponadpięciometrowego krokodyla. Wyciągnęli nasz samochód i szybko ulotnili się nad rzekę, śmiejąc się, że nasze bagaże, w tym jedzenie i części samochodowe, zostały na drugim brzegu. Musieliśmy jeszcze kilka razy zanurzyć się w rzece, aby przenieść bagaże, ostatnie przejście było ucieczką, kiedy w niedużej odległości od nas zobaczyliśmy szeroko rozstawione oczy nad lustrem wody. Tej przygody omal nie przyplaciliśmy życiem.

W trakcie takich przygód musicie mieć 100% zaufanie do sprzętu.

Ekstremalne wyprawy muszą mieć solidne zabezpieczenie w postaci sprawdzonego sprzętu i ekwipunku. Samochód przygotowuje mi jeden sprawdzony warsztat pod moim osobistym pełnym nadzorem. Bardzo ważną częścią wyposażenia jest odzież. Często w czasie wyprawy mamy bardzo duże różnice temperatury oraz skrajne warunki pogodowe. Do tego ubranie ma być wytrzymałe na wszelkiego rodzaju rozdarcia oraz zrobione z materiału, który się trudno brudzi... kręcimy materiał filmowy, a czasu na make-up i przebieranie się po prostu nie mamy. Od trzech lat jestem wierny marce, która zaspokaja moje oczekiwania w 100%. Ubrania Regatta spełniają wszystkie moje wymogi. ◻



Tomasz Jungowski

WYDARTE Z MROKU



Magiczne kilka tygodni w birmańskiej dżungli, w miejscach, do których jeszcze kilka miesięcy temu obcokrajowcy nie mieli dostępu... Celem wyprawy było dotarcie na tereny zamieszkiwane przez plemiona Czinów. O tyle niezwykle, że zanikające, jeśli chodzi o pewne zwyczaje. Staraliśmy się wyciągnąć na światło dzienne ich życie. Zadanie było o tyle karkołomne, że przed słońcem uciekają w mrok. To, co znaleźliśmy w cieniu chat, przekonało nas, że warto dźwigać sprzęt na drugi koniec świata.

Świt w położonej w pobliżu Bangladeszu birmańskiej wiosce. Bliskość granicy i jej słaba szczelność są błogosławieństwem dla biednej ludności. Przemycić i kupić za grosze da się wszystko. Markowe, szyte w Bangladeszu ubrania nie są wyjątkiem.



W sierocińcu wszyscy równi... Niechcianych, porzuconych czy osieroconych dzieci jest zawsze kilka, kilkanaście w każdej większej wiosce.

Prywatność zdaje się być tutaj pojęciem abstrakcyjnym. Europejczyka przyzwyczajonego do zamkniętych drzwi domów niejednokrotnie zdumiewa otwartość mieszkańców azjatyckich wiosek. Młodziutka matka z plemienia Czini.





Tradycyjne tatuowanie twarzy kilkuletnich dziewczynek przetrwało do 1960 roku, kiedy oficjalnie zostało zabronione przez rząd. Pomimo zakazu praktykowano zwyczaj do połowy lat 1990. Dziś coraz rzadziej można spotkać misterną pajęczynę na twarzach żyjących tam kobiet.

Zazdrościliśmy dzieciakom kreatywności – wszystko było dla nich zabawką, nawet zużyta opona. Najlepszym prezentem dla nich były jednak leki przeciwpalne, w tym miejscu niedostępne.






Ten szokujący dla nas obrazek karmiącej i palącej matki jest wśród Czinców codziennością. Brak edukacji oraz dostępu do informacji powoduje, iż wydają się przekonani, że szkodliwe jest tylko to, co zabija natychmiast.



Nowoczesność powoli wdziera się do najbardziej niedostępnych terenów zamieszkiwanych przez Czinów. Tradycyjne ubiory coraz częściej wypierane są przez tanie tekstylia. Na zdjęciu naczelnik jednej z wiosek z żoną, która pozuje osobno na zdjęciu obok.



Zbyt wiele łączy już Czinów ze światem zewnętrznym i cywilizacją, żeby mówić o pierwotnym charakterze ich plemion. Jednak niektóre elementy życia nie stanowią tematu tabu i są częścią pierwotnej świadomości. Nagość, starość, przemijanie ciała są naturalne. Namówienie żony naczelnika (jednej z niewielu już spotykanych tu wytatuowanych kobiet) do pozowania nago nie stanowiło większego problemu.



POD SZKOCKĄ BANDERĄ

Na początku listopada 1902 r. z małego rybackiego portu na zachodnim brzegu Szkocji wyruszył w stronę Antarktydy drewniany żaglowiec, który przedtem jako bryg „Hekla” pływał z norwesкими wielorybnikami na wodach Arktyki. Odkupił go od nich i przerobił na statek naukowo-badawczy odznaczający się wielką fantazją naturalista i oceanograf William Speirs Bruce. Bez wsparcia rządu brytyjskiego postanowił on zorganizować I Szkocką Wyprawę na mało zbadane Morze Weddella, omywające północne brzegi Szóstego Kontynentu.

Statek Bruce’a, którego załogę stanowili wyłącznie Szkoci, otrzymał po przebudowie nazwę „Scotia”, określającą jego nową przynależność państwową. Płynął pod narodową szkocką flagą. Wynikły z tego po drodze nieprzewidziane sytuacje. Jak pisze znakomity znawca historii wypraw polarnych Jacek Machowski w książce „Zdobywcy Białego Łądu”, w porcie Funchal na Maderze żółtą flagę szkocką, nieznaną na morskich szlakach, wzięto za znak kwarentanny. Szkotom kazano zatrzymać się na redzie. Może mieszkańców Madery dodatkowo przeraziła zawodząca melodia wygrywana na dudach przez



stojącego na dziobie marynarza ubranego w kratowaną spódnicę?

Szkocja miała od zarania swoich dziejów dwie narodowe flagi. Żółtą, na której widnieje lew w czerwonym ozdobnym obramowaniu, potomkowie dawnych Celtów nazywają Lion Rampant (gotowy



FOT. SHUTTERSTOCK

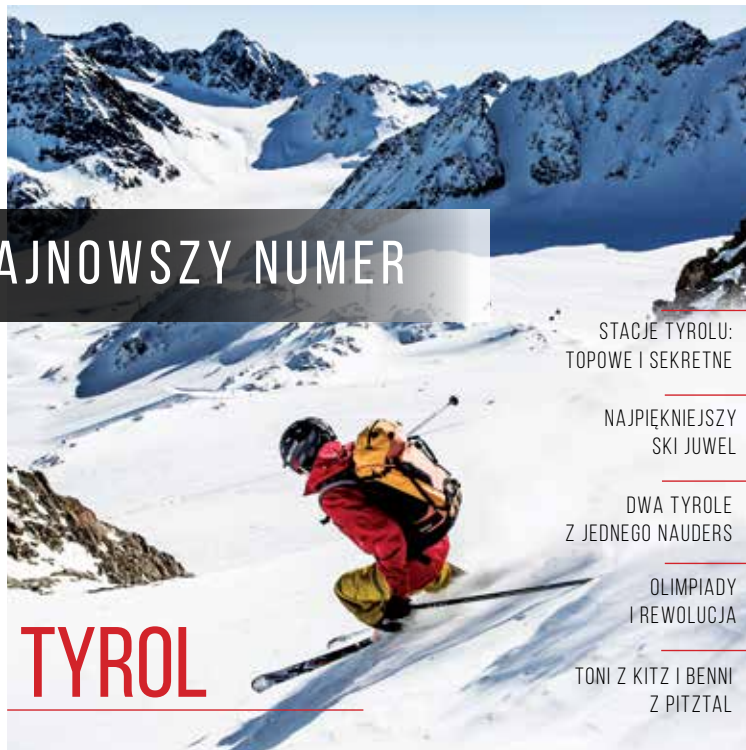
do skoku rozgniewany lew). Wprowadził ją jeden z ich wczesnośredniowiecznych królów Wilhelm I Lew (w Polsce panował wówczas Bolesław III Krzywousty). Jego osobista chorągiew stała się w 1165 r. królewskim sztandarem Szkocji. Po zawarciu unii szkocko-angielskiej (podob



FOT. SHUTTERSTOCK

REKLAMA

NAJNOWSZY NUMER



TYROL

STACJE TYROLU:
TOPOWE I SEKRETNE

NAJPIĘKNIEJSZY
SKI JUWEL

DWA TYROLE
Z JEDNEGO NAUDERS

OLIMPIADY
I REWOLUCJA

TONI Z KITZ I BENNI
Z PITZTAL

SKI 
magazyn.pl

nej do połączenia Polski z Litwą) lew został wpisany w 1606 r. w godło Zjednoczonego Królestwa. Tej właśnie flagi używali brytyjscy monarchowie, kiedy odwiedzali Szkocję. Podnoszono ją obok flagi Wielkiej Brytanii nad ich tamtejszymi zamkami i pałacami.

Zgodnie z ceremoniałem morskim żółta flaga królewska wisiała zapewne na rufie statku „Scotia”. Na maszcie powiewała flaga św. Andrzeja Apostoła, przez Szkotów określana słowem Saltir, przedstawiająca dwa ukośne białe pasy na niebieskim tle. Symbolizowały one dwie skrzyżowane belki, na których w I wieku w greckim mieście Patras za krzewienie nowej wiary rozpięty został jeden z pierwszych dwunastu uczniów Chrystusa. Zapytany o ostatnie życzenie miał poprosić oprawców, by powiesili go na krzyżu, mającym kształt litery „X”, stanowiącej w greckim alfabecie początek słowa Christos, które odpowiada hebrajskiemu Mesjasz. Dziś flagę św. Andrzeja zna cały świat. Pod nią zwolennicy niepodległości Szkocji szli na niedawne referendum.

Gdzie Rzym, gdzie Krym
w czasach św. Andrzeja
Św. Andrzej Apostoł najpierw stał się patronem prawosławnej Grecji odziedzic-

czonym z Bizancjum, w którym początki chrześcijaństwa sięgały czasów, kiedy istniał podział Cesarstwa Rzymskiego na wschodnie i zachodnie. W IV w. nową religię przyjął cesarz Konstancyj I Wielki, urodzony na ziemiach dzisiejszej Serbii, który zabronił prześladowania chrześcijan w swoim imperium. Pod koniec tego samego stulecia jeden z jego następców, Teodozjusz I Wielki, podniósł chrześcijaństwo wschodnie do rangi religii państwowej. Z Bizancjum przyjęła je kijowska Ruś. Oficjalnie stało się to w 988 r., gdy w wodach Dniepru odbył się chrzest mieszkańców Kijowa oraz ich władcy, księcia Włodzimierza I Wielkiego. Ale św. Andrzej już w I w. próbował krzewić chrześcijaństwo w koloniach greckich na Krymie. W swych podróżach misyjnych dotarł w okolice dzisiejszej stolicy Ukrainy, gdzie nad jednym ze wzgórz wznoszących się nad Dnieprem

ustawił i poświęcił krzyż. W XVIII w. caryca Elżbieta kazała wnieść w tym miejscu cerkiew pod jego wezwaniem. Były zatem szczególne powody, dla których św. Andrzej po Grecji stał się patronem Rusi, a potem Ukrainy i Rosji, a także Bułgarii, Rumunii i Serbii. A zatem prawosławnych chrześcijan.

Za jednego ze swych głównych świętych uznały go także katolickie Kościoły wschodnie, otaczając taką samą czcią, jaką w Kościele rzymskokatolickim cieszy się św. Piotr. W Polsce kult św. Andrzeja zaczął upowszechniać się od XI w., przede wszystkim na Śląsku i w Wielkopolsce. Od jego imienia wywodzą się nazwy 115 naszych miejscowości. Należy ono do trzech najpopularniejszych w Polsce. W dawnych greckich dialektach podobnym słowem określano dzielnego i odważnego męża. Stał się więc również patronem m.in. rycerzy

i osób będących w podróży. Ze Szkocją za życia nie miał nic wspólnego.

Jak wschodni święty trafił na Wyspy Brytyjskie

Dlaczego Szkocja wybrała go na swego patrona i to wcześniej niż dawna Ruś? Wyjaśnia to legenda o greckim mnichu, któremu we śnie ukazał się anioł, naka-

która otrzymała nazwę St. Andrews. Jej mieszkańcy przenieśli relikwie męczennika do specjalnie zbudowanej w tym celu kaplicy, na której miejscu w 1160 stała katedra św. Andrzeja. Stała się ona celem pielgrzymek i religijną stolicą Szkocji, mającą takie znaczenie jak nasza Częstochowa.

Warto odnotować, że podczas II wojny światowej stacjonował tu I Korpus Polski wraz z jego dowódcą, gen. Władysławem Sikorskim. Przypomina o tym pomnik w centrum miasta, poświęcony jego pamięci.

Za sprawą św. Andrzeja król Piktów, MacFergus, odniósł w 832 r. zwycięstwo nad armią anglosaskiego króla Northumbrii, sąsiadującej ze Szkocją od południa. W dzień poprzedzający to zmaganie Szkoci mieli zobaczyć na błękitnym niebie białe chmury układające się w kształt krzyża św. Andrzeja. Uznali to za przepowiednię ich zwycięstwa. Wtedy właśnie umieścili go na swej fladze. Jest ona obecnie jedną z najstarszych flag narodowych w Europie.

szkockich Orkadów, leżących w Europie. Nadał im ją w 1823 r. angielski łowca fok James Weddell, który nie kierował się, w odróżnieniu od Bruce'a, szkockim patriotyzmem. Po prostu zauważył, że odkryty przez niego archipelag położony jest na niemal tej samej co szkockie Orkady szerokości geograficznej, tyle że na półkuli południowej, a nie północnej. Orkady Południowe stały się później częścią brytyjskiej kolonii Falklandy. Weddell sądził, że morze, po którym pływał (nazwane jego imieniem), ciągnie się aż do bieguna południowego. Nie zdołał tego sprawdzić, gdyż drogę na południe zamroził mu potężny lodowiec szelfowy, stanowiący część ogromnego antarktycznego lądolodu, od którego odrywały się wielkie góry lodowe.

14 lutego sześciu naukowców, wchodzących w skład ekspedycji Bruce'a, zeszło na brzeg wyspy Laurie w asyście dudziarza o nazwisku Kerry, przygrywającego im szkocką melodię. W zespole naukowym znajdował się zoolog, botanik, geolog, bakteriolog (będący również lekarzem) i meteorolog (jednocześnie magnetolog). Sam Bruce oprócz tego, że był oceanografem, hydrobiologiem i przyrodnikiem, miał za sobą kilkuletnie studia medyczne na Uniwersytecie w Edynburgu, które przerwał w 1892 r., by zaciągnąć się jako asystent naukowy na wyprawę wielorybniczą do Antarktyki. Brał też udział w kilku wyprawach naukowych i komercyjnych na statkach polujących na foki w Arktyce.

Nie miał łatwego charakteru. Krytykował okrutne mordowanie zwierząt morskich. Wchodził w spory z Królewskim Towarzystwem Geograficznym, które uważało go za szkockiego nacjonalistę. W 1899 r. odrzuciło jego podanie o udział w przygotowywanej z dużym rozmachem Brytyjskiej Narodowej Wyprawie Antarktycznej. Odmówiło też finansowego wsparcia wyprawy statku „Scotia”.

Ziemia Coatsów

W jednej z wypraw do Arktyki Bruce poznał majora Andrew Coatsa oraz jego brata Jamesa, należących do bogatej szkockiej rodziny producentów wyrobów dziewiarskich i włókienniczych, właścicieli znanej na całym świecie fabryki nici do zycia. Ta właśnie rodzina



William Spears Bruce – organizator i dowódca Szkockiej Wyprawy Antarktycznej

zujący ukryć relikwie św. Andrzeja na końcu świata, w obawie iż cesarz Konstanty zabierze je do Konstantynopola. Końcem rzymskiego świata była wówczas Szkocja. Łódź greckiego mnicha doплыnęła do jej wschodniego wybrzeża, gdzie nad szeroką zatoką Morza Północnego nawiedzony przez anioła zakonnik złożył w dobrze ukrytym miejscu ząb, rzepkę, kość przedramienia i trzy palce świętego. W pobliżu tej kryjówki powstała po jakimś czasie piktyjska osada,

Krzyż z nieba na Orkadach Południowych

Tę właśnie flagę William Speir Bruce zatknął na początku 1903 r. na antarktycznej wyspie Laurie w archipelagu Orkadów Południowych, gdzie założył pierwszą w Antarktyce stację meteorologiczną, czynną do dziś. Wybrał ten archipelag jako cel swej podróży, ponieważ nosił nazwę nawiązującą do

zasponsorowała budowę statku „Scotia”. Odwdziczył się jej, nadając odkrytemu przez siebie jednemu z wybrzeży



Statek „Scotia” u brzegu wyspy Laurie w archipelagu Orkadów Południowych (1903)

w Antarktydzie Wschodniej nazwę Ziemi Coatsów (Coats Land). Nie zadbał natomiast o uwiecznienie własnego imienia na mapach. Jeden z cyplów Ziemi Wiktorii nazwał Bruce Point słynny angielski polarnik Robert Falcon Scott, dowódca wyprawy, na którą nie dopuszczono niepokornego Szkota. Rozległy płaskowyż, odkryty w 1908 r. na Ziemi Grahama przez francuską ekspedycję Jeana Charcota, znany jest obecnie jako Bruce Plateau. Nunatak Bruce’a (skalisty, goły szczyt wznoszący się nad pokrywą lodolodu) wprowadziła na mapy szwedzka ekspedycja Ottona Nordenskjölda. W 30. rocznicę szkockiej wyprawy brytyjska ekspedycja nazwała Wyspami Bruce’a grupę małych wysepek, które odkryła w pobliżu wyspy Laurie.

Zadbał natomiast Bruce, by jedna z zatok na południu wyspy Laurie otrzymała na cześć jego statku nazwę Scotia Bay. W 1932 r. kartografowie brytyjscy wydzielili z Morza Weddella mające powierzchnię ponad 1,3 mln km² odrębne

REKLAMA

Zaprenumeruj z dodatkami
roczna subskrypcja już od 109 zł

Telefonicznie: +48 (56)3508464
e-mail: prenumerata@poznaj-swiat.pl
SMS: 535-444980, treść: imię i nazwisko + adres
Przelew: BRE BANK SA 77 140 1065 0000 2445 6200 1004
w tytule pełne dane adresowe + okres prenumeraty
Listownie: 80-252 Gdańsk, ul. Jaskowa Dolna 17.

Poznaj Świat
www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

Morze Scotia, na którym leżą wyspy: Georgja Południowa, Orkady Południowe i Sandwich Południowy.

Na jego wodach pływałem w lutym i marcu 1976 r. jako dokumentalista I Polskiej Wyprawy Morskiej do Antarktyki. Nakręciłem na nich dla Telewizji Polskiej film „Surowe Morze Scotia”. Nie wiedziałem wówczas, gdyż locje brytyjskie o tym nie wspominały, że jeden z protoplastów Bruce’a, noszący takie samo jak on imię William, wykładał pod koniec XVI w. prawo rzymskie w słynnej Akademii Zamojskiej, uczestniczył w wyprawie infanckiej Jana Zamoyskiego, dowodząc oddziałem polskiej jazdy w walkach ze Szwedami, był agentem handlowym Anglii w Elblągu i doradcą pośta polskiego na dworze angielskim. Królem Anglii i Szkocji był wówczas, urodzony w Edynburgu, Jakub I z rodu Stuartów, którego

panowanie było początkiem personalnej unii Anglii ze Szkocją. A do Polski ściągnął „naszego” Williama Bruce’a Mikołaj Komorowski, pan na Liptowie i Orawie, który poznał go na jednym z europejskich uniwersytetów. Zdziwiająco spłatały się losy niektórych Szkotów i Polaków. Ale to już całkiem inna historia. ○

Ryszard Badowski

Dziennikarz, podróżnik, operator filmowy, fotograf, pisarz, autor programu telewizyjnego „Klub sześciu kontynentów”. Pierwszy Polak, który dotarł na wszystkie kontynenty. Autor ponad 100 filmów i kilkuset artykułów o tematyce podróżniczej oraz 16 książek. Centrum jego zainteresowania stanowią odkrycia geograficzne Polaków oraz ich wkład w kulturę i osiągnięcia cywilizacyjne innych narodów. Z miesięcznikiem *Poznaj Świat* jest związany od 57 lat.

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Pastel de Choclo, czyli zapiekanka ze zmielonej kukurydzy, to jedno z najpopularniejszych tradycyjnych dań w Chile. Kryje w sobie wiele niespodzianek - polubią go miłośnicy niekonwencjonalnych połączeń. Najsmaczniejszy Pastel de Choclo zapieka się w glinianym naczyniu zwanym pocillo, choć można użyć również żaroodpornego.

Przepis nadesłała Monika Trętowska, dziennikarka i autorka bloga Tresvodka.com, od kilku lat mieszkająca w Chile. Zdobyła go od swojej chilijskiej, siedemdziesięcioletniej teściowej Marii Yanquepe.



PASTEL DE CHOCLO



Zrobić *pino*: na patelni usmażyć wołowinę z cebulą pokrojoną w kostkę. Dodać *ají de color* według uznania, ale *pino* powinno być wyraziste. Teściowa Pani Moniki poleca *pino* zostawić w lodowce kilkanaście godzin do przegryzienia. Ugotować kurczaka i jajko. Kukurydzę zeskrobać z kolb i zmielić z odrobiną mleka (najlepiej w blenderze), aż powstanie lepka masa. Dodać 3 łyżki masła, gotować 20 min (jeśli *pastel* ma być nieco słodszy, można dodać trochę cukru, jeśli nie – szczyptę soli). Na dno glinianego naczynia położyć warstwę *pino*, a na nią pozostałe składniki: kawałki piersi z kurczaka, przekrojone na ćwiartki jajka, oliwki i rodzynki. Całość przykryć masą kukurydzianą, wierzch posypać odrobiną cukru. Naczynie wstawić do piekarnika nagrzanego do 180° na ok. 15-20 min.

SKŁADNIKI (dla 4 osób)
czas przygotowania: 45 minut

- 6 kolb kukurydzy
- 300 g mielonego mięsa wołowego
- 3 cebule
- podwójna pierś z kurczaka
- 3 jajka
- odrobina mleka
- 3 łyżki masła
- 10 oliwek
- garść rodzynek
- przyprawa *ají de color* lub ostra papryka

Aktywna jesień

Jesień już w pełni. Październikowa aura przeplatana była deszczem i słońcem, a w górach już mamy zimę. Trzeba być przygotowanym na zmienne warunki atmosferyczne, a w szczególności zapewnić odpowiednią termikę ciała.

Cena: ok. 125 zł
www.brubeck.pl



NA JESIENNE CHŁODY BRUBECK THERMO

Bluza typu 1st layer wykonana w technologii bezszwowej, z dwuwarstwowej, oddychającej dzianiny. Wewnętrzna warstwa szybko odprowadza wilgoć od skóry, a zewnętrzna odpowiada za termoizolację, zapobiegając wyziębieniu organizmu. Struktura siatki zastosowana w strefach o wzmożonej potliwości wspomaga transport wilgoci. Wzmocnienia na łokciach, barkach oraz dodatkowo wzdłuż bocznej linii torsu i pleców pomagają uniknąć otarć oraz dodatkowo ocieplają. Ta średniej grubości bluza polecana jest do różnych aktywności w niskich temperaturach.

Cena: ok. 500 zł
www.himalsport.com.pl



DLA ZAWODOWCÓW JULBO DUST GOLD QUEST

Julbo Dust Gold Quest zostały zaprojektowane specjalnie z myślą o profesjonalnych sportowcach. Wyposażone są w 3 wymienne soczewki (Spectron 0 – całkowicie przezroczysta, Spectron 1 i Zebra). W stu procentach chronią przed promieniami UVA, UVB i UVC. To propozycja dla osób, które nie szukają kompromisów tylko najlepszych rozwiązań.

BEZPIECZEŃSTWO TO PODSTAWA KOMPERDELL PROTECTOR VEST WITH BELT

Komperdell to lider wśród producentów ochraniaczy narciarskich, działający od ponad 15 lat. Wszystkie ochraniacze Komperdell spełniają normy EN 1621-2. Ochraniacze z serii CROSS mają największą zdolność do absorbowania uderzeń (do 4,97 kN). Ponadto są lekkie i znakomicie dopasowują się do ciała. Energia uderzenia jest wchłaniana przez kolejne warstwy, przez co daje maksimum zabezpieczenia kręgosłupa, chroniąc całą powierzchnię pleców wraz z zębami.



Cena: ok. 700 zł
www.komperdell.com

NIZWYKLE CIEPŁA COLUMBIA PLATINUM 860 TURBODOWN™

Produkty TurboDown są połączeniem trzech elementów: najlepszej ociepliny naturalnej – puchu, najcieplejszej dostępnej na rynku ociepliny syntetycznej – Omni Heat Thermal Insulation, z poprawiającą poziom termiki i termoregulacji podszewką – Omni Heat Thermal Reflective. Technologia Omni-Shield zabezpiecza kurtkę przed wnikaniem wilgoci i zabrudzeń. Doskonale nadaje się do ekstremalnych wypadów w góry.

Cena: ok. 800 zł
www.columbiasportswear.pl



Cena: ok. 240 zł
www.komperdell.com



UNIWERSALNE
KOMPERDELL CARBON PURE

Rewelacyjne kije narciarskie z serii All-Mountain sprawdzają się w każdych warunkach. Dopracowane w każdym szczególe sprostają gustom nawet najbardziej wymagających adeptów białego szaleństwa. Wykonane z carbonu (Ø16/9mm) charakteryzują się niską wagą i dużą wytrzymałością. Rączka wykonana z materiału EVA, który dostosowuje się do kształtu dłoni. Dostępne rozmiary: 110 cm - 135 cm.

NA EKSTREMA
YETI TORRE II

Kurtka przeznaczona na ekstremalne warunki, w których wygoda i ciepło mają podstawowe znaczenie. Materiał zewnętrzny ma membranę DRY, która jest wodoodporna i oddychająca. Kurtka ma specjalnie zaprojektowany kaptur, który nie ogranicza widoczności, a blisko 300 g najlepszej jakości puchu gwarantuje ciepło nawet przy 30-stopniowym mrozie. Torre II ma fartuch przeciwśnieżny i duże kieszenie rozpinane zarówno z dołu, jak i z góry – łatwo dostępne także w uprząży. Ma również wzmocnienia na ramionach, dokładnie tam, gdzie kurtka narażona jest na największe zużycie.



Cena: ok. 1700 zł
www.yeti.com.pl



Cena: ok. 360 zł
www.mactronic.pl

DLA SPECJALISTÓW
MACTRONIC THUNDER XTR

To najnowsza latarka taktyczna, będąca efektem konsultacji i testów oddziałów specjalnych. Dysponuje mocą aż 1020 lm, daje efektywny zasięg do 312 m. Jest również niezwykle wytrzymała i trwała. Pracuje zasilona dwoma bateriami typu CR123A (w zestawie) oraz zamiennie akumulatorem 18650 (akumulator i ładowarka dostępne jako akcesoria). Latarka jest dedykowana do montażu na broń, jednak z powodzeniem może służyć jako latarka outdoorowa.

Cena: ok. 1750 zł
www.nikon.pl



SZTUKA KOMPROMISU
NIKON MONARCH 7 10X42

To idealny wybór, gdy potrzebna jest lekka, solidna lornetka, dająca radość z obserwacji w każdych warunkach pogodowych, niezależnie od pory roku. Jej obudowa pokryta specjalną gumą jest uodporniona na wstrząsy i wyróżnia się doskonałą ergonomią. Powiększenie 10x to idealny kompromis między czytelnością szczegółów obrazu a wielkością i jasnością pola widzenia. Lornetkę wyposażono w najnowocześniejsze powłoki antyodbłaskowe i soczewki ze szkła optycznego ED, co pozwoliło uzyskać jasne, kontrastowe obrazy o naturalnej kolorystyce.

CIEPŁA I LEKKA
MARMOT QUASAR JACKET

Niezwykle lekka, bo ważąca tylko 255 g kurtka to rewelacyjne rozwiązanie, gdy temperatura spada poniżej zera. Wypełniona gęsim puchem (900 Fill Goose Down) zapewnia ciepło nawet przy największych mrozach, a przy tym niewiarygodnie się kompresuje – można ją spakować do jej własnej kieszeni. Wykonana z wytrzymałego materiału Pertex® Quantum®. Ma listwę wewnętrzną chroniącą zamek główny przed przedostawaniem się wiatru i szybką utratą ciepła, a także ściągacz u dołu kurtki, który pozwala na optymalne dopasowanie.

Cena: ok. 1100 zł
www.e-moko.pl



MEINDL HIMALAYA MFS

Marka Meindl powstała jako rodzinna firma, a obecnie jest dla wielu pasjonatów trekkingu synonimem długowieczności, niezawodności, komfortu oraz wysokiej jakości. Wybór na testowy model Himalaya MFS padł nieprzypadkowo. Chciałem sprawdzić w terenie but przeznaczony zarówno do trekkingu, jak i wspinaczki górskiej – czyli aktywności, które najczęściej uprawiam.

Zacznijmy od podeszwy. Meindl postępuje się skalą jej twardości (A, AB, B, BC, C, D). Testowany model to BC – czyli but, który ma poradzić sobie z wymagającym trekkingiem, wspinaczką, nierównymi szlakami, rumowiskami skalnymi czy nawet via ferratami. Podczas pokonywania odcinków pełnych ostrych kamieni nie odczuwałem dyskomfortu. Stopa pewnie czuła się w bucie, który jest również przystosowany do raków półautomatycznych (specjalnie uformowana powierzchnia za piętą). System MFS (Memory Form System) to technologia zapewniająca idealne dopasowanie butów do stóp. Specjalnie opracowana mieszanka pianki używana jest na wykończenie mankietu cholewki. Pianka działa pod wpływem ciepła, przez co odpowiednio formuje się do stopy. Profil mankietu pracuje podczas marszu, stabilizuje

stopy, ale ich nie uciska. Zapewnia to najwyższy komfort. Docenią to szczególnie osoby, które mają problem z dobraniem butów (przez kształt stopy,

właśnie być. Dzięki temu ochroni stopę praktycznie w każdych warunkach. Za ochronę termiczną i wodną odpowiada membrana GORE-TEX® Performance



FOT. EWA WITOSZANSKA



FOT. EWA WITOSZANSKA

grubość łydki itp.). Na komfort użytkowania składa się również odpowiednia stabilizacja i pewność stawiania kolejnych kroków. W tej materii Meindl opatentował system DiGAfix®. To elastyczne, ukośne mocowanie sznurówek, które umożliwia sznurowanie niejako „obejmujące” stopę. W celu zapewnienia optymalnego dopasowania buta do stopy punkt mocowania leży o wiele niżej niż haczyk na sznurówkę.

To rozwiązanie zmniejsza niebezpieczeństwo zaczepienia haczykiem o drugi but lub przeszkodę.

W butach trekkingowych ceną bardzo solidne wykonanie i odporność na zniszczenia, rozdarcia itp. Himalaya mają wysoki gumowy otok zabezpieczający cholewkę buta, wykonaną z nubuckowej skóry (olejowanej). Może to sprawiać, że but wydaje się zbyt toporny, ale taki w trudnym terenie powinien

Comfort. Utrzymuje ona optymalny klimat dla stóp, nawet podczas wielu godzin aktywności outdoorowych w różnych warunkach pogodowych. Ponadto but jak na swoją klasę i przeznaczenie ma dobrą wagę (890 g), ale pamiętajmy, że jest dostosowany do raków półautomatycznych i ma dość twardą podeszwę, a to nie pozostaje bez wpływu na wagę obuwia.

Meindl Himalaya MFS to buty wygodne, a zarazem niezwykle wytrzymałe i odporne na czynniki zewnętrzne. Poradzą sobie w trudnym górskim terenie.

Grzegorz Miedziński



Cena: ok. 1200 zł
www.meindl.pl

JACK WOLFSKIN CLOUDBURST

Jesienią deszcz potrafi mocno pokrzyżować plany. Czy to wycieczka w góry, czy spacer po parku – gdy zacznie padać, jesteśmy po kilku minutach przemoczeni i wyziębieni. Można temu zapobiec, zaopatrując się w kurtkę i spodnie, które ochronią przed wilgocią. Należy mieć na względzie możliwość ich łatwego transportu, czyli niewielką wagę i objętość po złożeniu. Takie właśnie są spodnie Jack Wolfskin Cloudburst.

Spodnie uszyte są z 2,5-warstwowego materiału Texapore. To za jego sprawą są nieprzemakalne, wiatroszczelne i oddychające. Dzięki obszernemu krojowi bez problemu można założyć je na inne spodnie (nawet jeansy, sztruksy itp.). Za regulację w pasie odpowiada elastyczny ściągacz. Średnicę końcówki nogawki można regulować za pomocą rzepów. Spodnie mają zamek do połowy łydki, który pozwala na założenie ich nawet na buty skitourowe lub włożenie ich bez potrzeby ściągania butów (w przypadku lekkiego i krótkiego obuwia trekkingowego). Z przodu i z tyłu znajduje się odbłaskowa nazwa producenta – niezwykle istotna przy jesiennej szarudze.



Cena: ok. 400 zł
www.jack-wolfskin.pl

Do spodni dodawany jest pokrowiec ze ściągaczem. Tak spakowane zmieszczą się w małym plecaku, w torbie na laptopa lub nawet w damskiej torebce (tam wszystko się zmieści...).

Jack Wolfskin Cloudburst to nie tylko awaryjna odzież na podmiejskie wypadki. To również propozycja dla ambitniejszych outdoorowców.

Spodnie poradziły sobie z trudnymi warunkami w Beskidach (wypad na Baranią Górę i Skrzyżne), gdzie błyskawicznie zmieniająca się pogoda przyniosła deszcz, ochłodzenie o blisko 10°C i nieprzyjemny wiatr. Założone na spodnie softshelowe Cloudburst skutecznie chroniły przed wychłodzeniem i przemoknięciem. Podobnie było w przypadku przejażdżki rowerowej w pochmurny dzień. Gdy zaczęło padać i woda bryzgająca spod kół wdzierać się wszędzie, wystarczyło założyć te nieprzemakalne spodnie, by w komfortowych warunkach wrócić do domu. Oczywiście po jakimś czasie, przy ulewnie padającym deszczu każde spodnie z membraną prędzej czy później poddadzą się żywiołowi, ale do tego czasu zdążymy się

schronić.

Jack Wolfskin Cloudburst to wręcz obowiązkowy element wyposażenia



FOT. EWA WITOSZANISKA

każdego outdoorowca. Spodnie będące zewnętrzną warstwą chroniącą przed opadami i wiatrem, mieszczące się w niewielkim pokrowcu, będą towarzyszyć podczas większości wypadów w góry, na rower, do parku czy nawet w drodze do pracy podczas niepewnej pogody.

Grzegorz Miedziński

Będzie międzymiastowa. Proszę mówić!

Zdjęcie zostało zrobione w jednej z najbardziej znanych kawiarni warszawskich okresu międzywojennego – Małej Ziemiańskiej. Mieściła się ona przy ul. Mazowieckiej 12. Tu spotykali się poeci, literaci, malarze, profesorowie. Towarzystwa miały swoje stałe stoliki, z których najśłynniejszy był skamandrycki „stolik na półpiętrze”. Bywali tu m.in. Jan Lechoń, Antoni Słonimski, Kazimierz Wierzyński, Julian Tuwim. Wraz ze wzrostem popularności kawiarni zmieniało się jej wnętrze i wystrój. Na stolikach pojawiły się telefony, lokal był też jednym z pierwszych mających obrotowe drzwi. Początkowo wnętrza pokryte były polichromią autorstwa Wacława Borowskiego. Potem wielu artystów rywalizowało o możliwość namalowania tam swojego dzieła. Popularność Ziemiańskiej przyczyniła się do powstania jednej z pierwszych warszawskich „sieciówek” – w stolicy funkcjonowało 7 kawiarni pod tym szyldem, przez krótki okres istniała też filia w Nicei.





FOT.MAC



BOŻE NARODZENIE W MEKSYKU



ZIMOWE MAZURY



NIEODKRYTA SŁOWENIA

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej
Dariusz Małkowski
dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980

Sekretarz redakcji
Julia Michalczewska
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Józef Baran, Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski, Michał Kocharczyk, Marcin Kołpanowicz, Romuald Koperski, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć, Marek Szpendowski

Grafika & DTP & Prepress
Artur Bury, Maciej Jurkowski, Kryspin Waliszewski

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLWGD

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama agencyjna
Aneta Kożuchowska,
tel. 784 094 194

Reklama świata
Aleksandra Musiał,
tel. 664 115 333

**Reklama outdooru
i elektroniki**
Grzegorz Miedziński,
tel. 501 641 706

Reklama regionalna
Olga Kołakowska,
tel. 501 050 624

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniem ich autorów.



 **VARTA**

**VARTA INDESTRUCTIBLE
- ZBUDOWANE BY PRZETRWAĆ.**



Polub nas na:
www.facebook.com/VARTA.ConsumerPL

OLYMPUS



MOVE INTO A NEW WORLD

E-M10
OM-D
REDUCED TO PERFECTION



Olympus E-M10, najnowszy przedstawiciel wielokrotnie nagradzanej serii OM-D, odmieni Twój styl fotografowania. Ten solidnie zbudowany, supersmukły i lekki aparat z wymienną optyką wyposażony jest w doskonałe funkcje, dzięki którym uwiecznisz najważniejsze chwile swego życia. Zdobywaj nowe doświadczenia, rozwijaj swoje umiejętności. Ciesz się wysoką jakością zdjęć zrobionych wzorcowo zaprojektowanym i niezwykle szybkim aparatem OM-D E-M10. **Welcome to a New World.**

Więcej informacji znajdziesz u lokalnego sprzedawcy lub na stronie internetowej.

